

Salman Rushdie chwali na łamach londyńskiego „Observera” nową książkę Philipa Rotha „Fakty”.

Bluznierstwo, kara i gra sprzecznych interesów

MAREK BRZEZIŃSKI

3 lipca 1988 roku rozgłoszenie radiowe na całym świecie nadał program, którego integralną część stanowił kilkunastosekundowy fragment rozmowy między pilotem irańskiego samolotu pasażerskiego a wieżą kontroli lotów w Dubaju. W parę sekund po tej rozmowie samolot, na pokładzie którego znajdowało się 290 pasażerów i członków załogi rozbił się w powietrzu, a jego szczątki porzucane były na obszarze kilkunastu kilometrów. Samolot został trafiony rakietą wystrzeloną z pokładu amerykańskiego krążownika „Vincennes” patrolującego rejon Zatoki Perskiej. Dowódca okrętu kapitan Will Rogers omyłkowo wziął samolot pasażerski za nieprzyjacielskiego myśliwca. W październiku kapitan Will Rogers i jego jednostka powrócili do Stanów Zjednoczonych.

W początkach marca 1989 roku, na światłach jednego ze skrzyżowań na przedmieściach San Diego zatrzymał się niewielki samochód-van. Nie zdążył ruszyć na zielonych światłach, gdy powietrzem wstrząsnęła eksplozja. Pracujący w pobliżu robotnik wyciągnął z pionącego wraku samochodu jego kierowcę. Wkrótce nastąpiła kolejna eksplozja i samochód spłonął niemal doszczętnie. Kierownicą samochodu była Sharon Rogers, żona kapitana krążownika „Vincennes”. Poza szokiem i paroma siniakami nie odniosła ona poważniejszych obrażeń.

Tego samego dnia telewizja amerykańska podała, iż w Stanach Zjednoczonych przebywa około 400 „rewolucyjnych strażników islamu” z Iranu — ugrupowania terrorystycznego, odpowiedzialnego za zamachy bombowe w różnych punktach świata. Udało im się dostać do USA dzięki wizom studentek. FBI odrzuciło jednak te oceny jako „niedokładne”. W Stanach Zjednoczonych do tej pory nie dochodziło do bezpośrednich ataków terrorystycznych Irańczyków. Brakuje też dowodów na to, aby zamach na Sharon Rogers był sprawą „strażników rewolucji”, ale nie mniej istnieje bardzo duże prawdopodobieństwo, że tak właśnie było.

— Moim zdaniem to wszystko wskazuje na Hezbollah albo na Nabu Nidatu — powiedział Rafał Brzeski, dziennikarz, specjalista od terroryzmu międzynarodowego, który kończy na Uniwersytecie w Aberdeen pracę doktorską właśnie na ten temat. Miał na myśli katastrofę w Lockerbie. Między sprawą Rushdiego, Lockerbie a zamachem w San Diego może nie być bezpośredniego związku poza sprawcami i ich motywami, ale nie można zapomnieć, że „starzec z Teheranu” prowadził od kilku lat walkę dla dobra islamu, która ma charakter nie tylko religijny, ale i bardzo antyamerykański i antyzachodni. Sprawa Rushdiego jest więc tylko kolejnym etapem tej rewolucyjnej walki.

— A czy uważasz, że „strażnicy rewolucji” mają (jakieś) szanse na dopadnięcie Salmana Rushdiego?

— Bez problemu — odpowiedział Rafał. — To są wysokiej klasy specjaliści, którzy nie mają mieli z tym specjalny problem.

Co może stracić
Wielka Brytania?

— Niektórym kołom w Wielkiej Brytanii może nawet zależeć na tym, żeby „strażnicy” sprzątnęli Salmana Rushdiego — słyszałem w Londynie. Powodów jest kilka. Po pierwsze — stosunki dyplomatyczne z państwami Bliskiego i Dalekiego Wschodu są ważniejsze niż jeden pisarz i to tym bardziej, że powszech-

nie znane są jego skłonności komunistyczne i antyrządowe poglądy. Wiele osób uważa, że książka Salmana Rushdiego jest równie antyislamska, co anty Thatcherowska. Po drugie — liczą się również strefy wpływów, rynki zbytu. Na opanowane przez Europę Zachodnią miejsce wciśną się zaraz inne państwa zainteresowane w ożywieniu stosunków gospodarczych z Iranem. Po trzecie — załatwienie Salmana Rushdiego dałoby wielu osobom na Wyspach okazję do rozpętania kampanii antymuzułmańskiej, a więc wymierzonej w ludność pochodzenia azjatyckiego. Z jednej strony na forum parlamentu rozważa się wprowadzenie możliwości wydania paszportów brytyjskich mieszkańcom Hongkongu, ale z drugiej strony odzywają się liczne głosy, że muzułmanie nie mogą się przystosować do wartości i sposobu życia w cywilizowanej Anglii.

Rząd brytyjski nie zamierza jednak specjalnie ustępować ze swojego stanowiska obrońcy obywatela brytyjskiego, bez względu na to, jakie są jego poglądy, ani porzucić linii obrony wolności słowa i prawa do swobody wypowiedzania własnych poglądów.

Iran wezwał rząd brytyjski, aby ten zareagował w sprawie Salmana Rushdiego, jeżeli Londyn chce utrzymać stosunki z Teheranem. Minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii — Geoffrey Howe odpowiedział na to, że książka „Szatańskie wersety” przyniosła wiele szkody i to nie tylko islamowi, ale i niemuzułmańskim Brytyjczykom i nie dziwi się, dlaczego wywołała taką falę krytyki. Taka odpowiedź nie mogła zadowolić skrajnych fundamentalistów szyickich i Teheran zerwał stosunki dyplomatyczne z Londynem.

Jednakże pragmatycy we władzach irańskich doprowadzili do wysunięcia ze strony rządu Iranu oficjalnej propozycji pod adresem Wielkiej Brytanii odbycia rozmów w sprawie narastających kontrowersji wokół „Szatańskich wersetów” i gwałtownego pogorszenia się wzajemnych stosunków. Wielka Brytania zdecydowanie odrzuciła tę propozycję twierdząc, że nie może być mowy o żadnych kontaktach z Iranem dopóki ajatollah Chomeini nie odwoła wyroku śmierci na Salmana Rushdiego.

Wspomniany już Geoffrey Howe a także Geoffrey Hurd — minister spraw wewnętrznych Wielkiej Brytanii oraz Peter Sissons — dziennikarz popularnego dziennika telewizyjnego w programie czwartym telewizji brytyjskiej — otrzymali również groźby, iż na ich życie przygotowywane są zamachy. Peter Sissons znajduje się pod stałą ochroną Scotland Yardu. Dołączyli oni — obok wydawców i tłumaczy książki Salmana Rushdiego, biur rządowych Wielkiej Brytanii na całym świecie, czego przykładem jest atak bombowy na konsulat brytyjski w Islamabadzie, brytyjskich linii lotniczych, pubów, barów i dyskotek uczęszczanych przez Brytyjczyków — do listy obiektów i osób, przeciwko którym wymierzone mają być akcje „strażników rewolucji” i libańskiego ugrupowania szyickiego Hezbollah. Rząd brytyjski zamknął konsulat i sekcję wizową w Bejrucie oraz nakazał obywatelom brytyjskim opuścić Liban.

9 marca 1989 roku Geoffrey Howe poinformował Izbę Gmin, że ze względów bezpieczeństwa poproszono kilkanaście osób pochodzenia irańskiego o opuszczenie Zjednoczonego Królestwa.

— Dokładnie obserwujemy poczynania innych Irańczyków i dalsze kroki będą podjęte, o ile zajdzie taka potrzeba —

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Łódź Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 15 (1619) ROK XXXII

9 KWIETNIA 1989 ROKU

CENA 80 ZŁ

- **Samotny zapozna panią...** str. 16
- **Sprzedają pytania egzaminacyjne** str. 1 i 6
- **Gieroj Sasza na urlopie** str. 10
- **Kraina snów i skandali** str. 5



Collage: Grzegorz Galasiński

Wiele wskazuje na to, że studenci przeszkadzają wykładowcom w prowadzeniu ich badań naukowych!

Targowisko wiedzy

IWONA MARZANNA KNYPL

- Zadzwoń telefon. Piotrek podnosi słuchawkę.
- Zdzajesz jutro egzamin? — dobiega chropawy głos.
 - Zdzaje — brzmi odpowiedź.
 - A chcesz pytania?
 - Chce. A ile to będzie kosztować?
 - Nie wiem.
 - No trudno, wchodzę w to.
 - Dobrze. Czekaj na telefon.

Trzask odkładanej słuchawki. Student zdał sobie sprawę, że całą noc spędzi w gronie podobnych mu ludzi na rozwiązywaniu „pewniaków”; nikt nie będzie znał prawidłowego rozwiązania, ale na egzaminie znajda się w „wiele lepszej sytuacji od tych, którzy z zadaniami po raz pierwszy zetkną się na sali. Będą lepsi o te kilka godzin. Nie jeden raz słyszał o przypadkach, że bezpośrednio przed egzaminem asystenci sprzedawali wybrańcom tematy. Za ile — może się tylko domyślać. Wie, że ci, którzy za egzamin zapłacili, też chcą zarobić, więc zbierają grupę takich jak on. Wszystkie dokładnie przygotowują, by przed rozpoczęciem egzaminu nie się nie wydało. Z chwilowej zadumy wyrzyna go dźwięk dzwoniącego telefonu.

- Znasz warunki?
- Nie, ale chętnie się dowiem.
- Kosztuje... Za pół godziny podjeżdżamy do ciebie samochodem i zabierzemy cię na kwaterę. Tam spędzisz noc, a rano przetransportujemy cię na egzamin. Od chwili gdy wsiądziesz do samochodu nie masz już odwrotu.
- OK — odkłada słuchawkę.

Dzwonił do kumpla. Chce go wciągnąć. Nie zastaje go w domu. Nie szkodzi. Cena i tak ustalona. Ubiera się i pakuje podręczniki do małego plecaka. Wychodzi przed klatkę swego bloku. Jest 22:53. Mały fiat podjeżdża punktualnie. Chłopak znajomy z widzenia zaprasza do środka. W samochodzie już ktoś siedzi. Jadą dziesięć minut. Mieszkanie jest niewielkie — dwa pokoje z kuchnią i łazienką. Zauważa brak telefonu. Jest za to skrzynka z napojami — jedyny orwian na noc. W mieszkaniu jest już jedenaście osób. On jest dwunasty.

— No mamy już komplet. — odzywa się jeden z tych, którzy organizują „imprezę”. Zbierają pieniądze i wychodzą. Rozpoczyna się pracowita noc. Uczą się w pokojach, kuchni i łazience. Jedni

rozwiązują zadania i starają się pojąć ich istotę, inni wiszą „kwiety”. Ci, co byli tu wcześniej, kładą się spać. Organizatorzy uczą się gdzie indziej. Dlatego też zamknięci niepokoją się, czy czasem tancerze nie zaśpią i dowiozą ich na czas.

Egzamin jest o 9:00. Wszyscy są wykończeni morderczą pracą i strasznie głodni. Pepsi dawno się skończyła, ratują się więc mocną herbatą. Od 8:00 zaczynają narastać nastroje bojowe. Dochodzi 8:30, nadal czekają. Aha, koledzy szefowie zabezpieczają się, by nikomu nie udało się przekazać rozwiązań dalej. Nareszcie! Zerzyt klucza w zamku. Przed blokiem są cztery samochody: polonez, duży fiat i dwa maluchy. Eskortowani wychodzą na świeże powietrze. Rusza kawałkami pojazdów. Samochody zatrzymują się w różnych odległościach od Politechniki. Chłopcy wysiadają kolejno. Przed wejściem czeka jeden z tych, którzy w nocy przyjechali po Piotra, sprawdza, czy wszyscy weszli na salę. Od tej chwili utrzymanie tajemnicy będzie w interesie każdego. Rozpoczyna się egzamin. Chwila niepewności. Czytają tematy. Niektórzy grupa ludzi odczuwa ulgę. Te same! Inni miewają różne miny. Kilka osób wychodzi z sali. Cóż, będą musieli jeszcze raz próbować szczęścia, już w sesji ponawkowej.

Piotrek zdążył porozumieć się ze swoim kolegą. Rzucił mu rozwiązanie. Ten po egzaminie zwrócił mu połowę wydanej forsy. Prawie wszyscy tak postępują, by obniżyć koszty własne.

Po tygodniu ogłaszają wyniki. Piotrek zdał na trzy, jego kolega podobnie. Z całej dwunastki nie powiodło się dwóm.

Kiedy student się uczy

Czy rzeczywiście studenci muszą uciekać się do takich, bądź co bądź niezbyt uczciwych metody zdawania egzaminów? Student, który do każdego egzaminu podchodzi trzy czy pięć razy, gdy trafi mu się okazja, kupuje tematy. Zadania rozwiązywane na ćwiczeniach prezentują najniższy stopień trudności, na kolokwium są o stopień trudniejsze, a na egzaminie lepiej nie mówić. Studenci chodzą na kolejne terminy egzaminu, tam dopiero uczą się rozwiązywać problemy. Tam dopiero zapoznają się z typem zadań. Czasem niektórzy wykładowcy w ramach egzaminu dają problemy, nad którymi sami pracują od lat, a ugrzęźli na pewnym etapie. Zdarza się, że

NR 15 (1619), 9 KWIETNIA 1989 R.

— Potocznie utożsamia się politologię z naukami politycznymi, chociaż — jak podaje Encyklopedia Powszechna PWN — politologia przypada do ogółu nauk politycznych jak np. nauki o państwie i prawie, ekonomii politycznej czy też polityki społecznej i innych, funkcja integrująca. Jak się zna, tak się zna, a najważniejsze, moim zdaniem, jest to, że politologia, jak u nas uprawiamy, nie ujawnia — jak się nieraz sądzi — swojej bezradności w kwalifikowaniu zjawisk politycznych, a mianowicie w ich ocenie i prognozowaniu.

— Na wstępie zdecydować się na poprawny termin: politologia lub wymiennie — nauka o polityce. Otóż wbrew temu co się nieraz sądzi, nie można mówić o jej bezradności, gdyż zarówno w ocenie przeszłości, ocenie charakteru zjawisk aktualnych oraz w przewidywaniu przyszłości nie trudno spotkać w polskiej politologii prace — w postaci raportów ostrzegawczych, diagnoz, ekspertów itp., które dowodzą, iż politologia polska mocno i pewnie chodzi po ziemi, po twardym gruncie realiów i realistycznie oceniany jest rodowód tego, co się u nas obecnie dzieje. Spojrzenia politologii na główne procesy przeszłości, na aktualną sytuację i na perspektywy rozwojowe są, jak sądzę, prawidłowo osadzone na analizie właściwych przesłanek i oparte na właściwych metodach badawczych. Mówiąc o tym, trzeba jednak podkreślić, że w Polsce politologia nie jest jeszcze dostatecznie rozwinięta. Nie ma jeszcze odpowiedniego popytu na badania politologiczne. Na Zachodzie, a ściślej mówiąc w grupie rozwiniętych krajów kapitalistycznych, rządzących mniej lub bardziej demokratycznie politologia (nauka o polityce) wykladała jest na ogół na wszystkich wyższych uczelniach. Ponadto istnieją prywatne fundacje i instytucje zajmujące się politologią, np. w RFN takie fundacje posiadają główne partie polityczne. Rozbudowana sieć instytucji politologicznych jest następstwem pluralizmu politycznego. Jak już zaznaczyłem, wraz z rozwojem pluralizmu w Polsce należy oczekiwać pojawienia się nowych ośrodków politologicznych.

— Czy takie zróżnicowanie sprzyja niezależności i bezstronności badań?

wiem stać na masową produkcję tanich płyt i kaset czy sprzętu wideo oraz lansowanie młodzieżowej mody, ten narzuca wybór także w sferze ideologicznej...

— Rzeczywiście, z pewnego punktu widzenia można potraktować realizowane obecnie reformy, połączone z szerokim międzynarodowym otwarciem, co zainicjowano kolejno na Węgrzech, w Polsce i w Związku Radzieckim, jako odstępstwo od niewzruszonych dotychczas wyobrażeń o socjalistycznym modelu państwa, gospodarki i stylu życia, a nawet systemu wartości ideowo-moralnych, ale to jest poważne i niebezpieczne w skutkach uproszczenie. Dotychczasowy model socjalizmu prowadził na manowce, jeżeli nie wręcz do samouniemożliwienia. Nie można go kontynuować. Jest na to wiele przekonujących dowodów.

Nie zaskakuje mnie fakt, że na tym podłożu odżywa też o wzajemnym zbliżeniu czy możliwości upodobnienia się z czasem obu ustrojów, czyli że odżywa różna odmiana teorii konwergencji. Widać je jak i inne podobne poglądy w wielu zachodnich rozważaniach i interpretacjach. Wypowiedział się niedawno w tym duchu Andrzej Sacharow, przypominając swoją pracę sprzed dwudziestu lat, w której przewidywał konwergencyjność, jako proces nieunikniony.

— Czy to znaczy, że pewnego pięknego poranka obudzą się ludzie w tym samym ustroju społeczno-politycznym obejmującym cały świat? Nie upieram się akurat, czy miałby to być ten sam dzień lub rok...

— Słowno, czy obudzimy się w jakimś „supersocjalizmie”, z wszystkimi zaletami lecz bez wad obu poprzedzających go ustrojów? Jeśli nie mielibyśmy ograniczyć się do powierzchownego oglądu problemu, trzeba by przeprowadzić analizę charakteru współczesnego kapitalizmu i socjalizmu oraz możliwości i tendencji rozwojowych obu ustrojów. Należałoby też cofnąć się do początków formacji socjalistycznej, by stwierdzić, że w momencie startu formacja ta zaliczała się do swoich aktywów tylko: rozwinętą krytykę kapitalizmu, bardzo ogólny zarys koncepcji budowy socjalizmu i to głównie w sferze celów rozwoju i podziału

Z tej ziemi

A ja pana skreślię!

1.

Tak żęśmy się dokładnie i skutecznie zdemokratyzowali, że powróciliśmy do koncepcji prezydenta i senatu. Z senatem rozstaliśmy się w czerwcu 1946 roku, kiedy to w referendum na pytanie: „Czy jestes za zniesieniem senatu?” — odpowiedziało „TAK” 68,2 procent głosujących. A było ich wedle oficjalnych danych 83,3 procent upoważnionych do wypowiedziania się. Byłoby teraz właściwym, aby wówczas wypowiedzieli się i ich potomkowie pytając: Czy są za przywróceniem senatu? Byłoby ciekaw wyniki takiego referendum.

Powrót do koncepcji prezydenta i senatu wziął się z obawy przed „szalejącą demokracją”, jaką mieliśmy w dziejach naszego parlamentaryzmu u początków II Rzeczypospolitej, co objawiało się częstymi zmianami rządów i nieumocą Sejmu. Dokonała się wówczas ewolucja koncepcji ustrojowej od marcowej Konstytucji z 1921 roku do kwietniowej z 1935 roku.

W książce Mieczysława Adamczyka i Stefana Pastuszka „Konstytucje polskie w rozwoju dziejowym 1791-1932” znajdują się teksty obu wspomnianych Konstytucji. Jakże różnią się one od siebie, choć obie przecież można nazwać burżuazyjnymi. W marcu 1921 roku stwierdzono, że „władza zwierzchnia w Rzeczypospolitej należy do narodu” i że „Rzeczpospolita Polska, opierając swoją ustrój na zasadzie szerokiego samorządu terytorialnego, przekazuje przedstawicielstwu tego samorządu właściwy zakres ustawodawstwa, zwierzchnia w dziedzinie administracji, kultury i gospodarki”, co zostanie określone odpowiednimi ustawami.

Inaczej rzecz ujmując Konstytucja z 23 kwietnia 1935 roku. Artykuł 1 stanowi, że „państwo polskie jest wspólnym dobrem wszystkich obywateli” i że „każde pokolenie, obowiązane jest wysiłkiem własnym wzmacniać i powagą państwa”. Na czele państwa stoi prezydent a „na nim spoczywa odpowiedzialność wobec Boga i historii za losy państwa”. I dalej: „Państwo zapewnia obywatelom możliwość rozwoju ich wartości osobistych oraz wolność sumienia, słowa i zrzeszeń”, ale „granicą tych wolności jest dobro powszechne”. I dalej: „Żadne działanie nie może stać się sprzecznością z celami państwa, wyrażonymi w jego prawach”, bowiem „w razie oporu państwo stosuje środki przymusu”.

I tak naród, który był najwyższą władzą, zastąpiony został przez państwo. Na szczęście w obowiązującej Konstytucji PRL stwierdza się, że „władza należy do ludu pracującego miast i wsi”. Tyle tylko, że lud ten nie nauczył się jeszcze w pełni z tej władzy korzystać. Zbyt długo go od tego odrywają.

2.

Zbliżają się w... do Sejmu i Senatu PRL. Należy się spodziewać, że będą one inne od wszelkich dotychczasowych, że wraz z pluralizmem politycznym i organizacyjnym dojdzie do faktycznego prezentowania programów, postaw, racji i politycznych dążeń. Wyborca, czyli każdy z nas, będzie musiał wybierać. Do tej pory w zasadzie wszyscy kandydaci byli dobrzy, mieli taki sam dobry program wyborczy, chcieli tego samego, a wyborca miał za zadanie wybrać lepszych od innych. Mógł się też kierować sympatią, partykularnymi interesami swojej grupy zawodowej, na przykład kolejarze wybierali kolejarza, lekarze — lekarza, nauczyciele — nauczyciela i tak dalej, albo i odwrotnie, bo zadziałało prawo zawisłości. Teraz — tak sobie to wyobrażam — będzie inaczej.

Jeśli założymy, że pluralizm polityczny niesie z sobą różne racje polityczne, a więc i cele, to każdy wyborca, czyli każdy z nas musi najpierw opowiedzieć się za takim lub innym celami politycznymi. Musi sam sobie powiedzieć, za czym się opowiada i przeciw czemu. Następnym krokiem będzie poparcie udzielone jednemu kandydatowi a skreślenie innych. Już nie można będzie

powiedzieć, że wszyscy są dobrzy, a ja dokonuję wyboru lepszych spośród grona dobrych. Trzeba będzie wręcz powiedzieć jednym kandydatom, że ich nie skreślę, a innym, że ich właśnie skreślę! W tych wyborach będą wygrani i przegrani. Jedni otrzymają społeczne poparcie, inni go nie otrzymają.

Coś podobnego stało się już w ZSRR, gdzie wyborcy nie udzielili swego poparcia wielu ludziom zajmującym oficjalnie wysokie stanowiska, którzy mogli z tej racji i na tradycyjnych zasadach, że racja związana jest ze stanowiskiem a nie człowiekiem, spodziewać się takiego poparcia i rozczarowania. U nas też będą rozczarowania.

3.

Zastanawiam się nad rolą prasy, radia i telewizji w nadchodzących wyborach. Z „Wolnej Europy” dowiedziałem się, że „prasa opozycyjna”, która formalnie jeszcze nie istnieje, już się do wyborów intensywnie przygotowuje. Tworzy się burze mózgów, szuka się sposobu niekonwencjonalnego prezentowania kandydatów. Obysię się nie obudzili zbyt późno.

Do tej pory bowiem w myśl zasady, że wszyscy kandydaci są dobrzy wszystkich prezentowano tak samo, gwoili spienienia obiektywnej roli informatora. Z obowiązku informowania Czytelników o przebiegu walki wyborczej nikt prasy nie zwolnił, ale też będzie ona musiała również dokonać wyboru, równych kandydatów określając mianem „naszych” i ich popierać, a z resztą toczyć polityczną walkę. Oby tylko jej rezultaty były pomyślne, gdyż od takiej walki byłymy do tej pory skutecznie oduczeni. Ale na naukę nigdy nie jest za późno!

4.

Chciałbym skorzystać z okazji i odpowiedzieć na listy Piotra Bugajskiego — mojego wiernego Czytelnika — wraca do spraw cen i płacy. Zadaje nieco demagogiczne pytanie: „czy sprawiedliwie jest, że ceny rosną jednakowo dla wszystkich?” Oczywiście, że niesprawiedliwie. Ale jak może być inaczej? Najbardziej jest to niesprawiedliwe i najbardziej dotyka rencistów i emerytów. Jedynym wyjściem jest odpowiednio rekompensować im wzrost cen. I tak się czyni, choć w ograniczonym zakresie. W sprawach płac i cen ciągle będziemy szukali różnych — lepszych lub gorszych — rozwiązań, powtarzali oklepamy już frazes, że „wszyscy mamy jednakowe żółdki”, spirali się o wysokości płac, dotąd, kiedy nie zaczęliśmy płacić nie wedle przywilejów i pozycji w spisie zawodów deficytowych, ale wedle pracy. Szkolę w tym, że nikt nie chce zrezygnować z uzyskanych już przywilejów, a nie ma mocnych, aby odebrać je siłą.

Piotr Bugajski, w swoich rozważaniach skłania się ku sprawiedliwości rozumianej jako równość. „Jak przyciągnąć pas do wszystkich”. Jego zdaniem — co trochę przeczy jedną z wemu przyciągania pasa — „płaca powinna być według przysługowności”. To właśnie mamy, a powinna być — moim zdaniem — według pracy rzeczywiście wykonywanej i odpowiednio cenionej, żeby nie dochodziło do takich paradoksów, iż profesor zarabia tyle samo co sprzątaczką. Każda praca jest ważna i potrzebna, ale istnieje zasadnicza różnica między pracą profesora i sprzątaczką.

We wspomnianej na wstępie Konstytucji RP z kwietnia 1935 roku znalazło się i takie stwierdzenie: „praca jest podstawą rozwoju i potęgi Rzeczypospolitej”. To zdanie i dziś ma pełną aktualność. Ale trzeba dla prawidłowego rozwoju narodu preferować taką pracę, która stanowi podstawę jego rozwoju, trzeba mózgołożyć przed mięśniami. I to przekonanie sprawdzane w praktyce wpajać już w przedszkolu. Ale to już zupełnie inny temat.

LUCJUSZ
WŁODKOWSKI

Czy któregoś dnia obudzimy się w takim samym ustroju panującym na całym świecie?

Czy władza słucha politologów?

Rozmowa z prof. dr ZDZISŁAWEM GRZELAKIEM, dyrektorem Instytutu Nauk Politycznych UŁ

— Niezależnie od zaspokajania oczekiwań tych czy innych sponsorów (państwa, partii politycznych, związków zawodowych) — nauka o polityce w krajach kapitalistycznych funkcjonuje w znacznej mierze na takich obszarach, gdzie (podobnie jak obecnie u nas) dominują bez przeszkód badania, powiedzmy, obiektywistyczne, wolne od doraźnej czy perspektywicznej politycznej tendencji. Badania te obliczone są na ujawnianie sprzeczności, formułowanie prognoz ostrzegawczych, projektowanie wariantowych posunięć politycznych itp.

W przeszłości, jeśli w ogóle istniało zapotrzebowanie „centrum” na analizy, raporty, prognozy — to były one z reguły gospodarcze. Było to konsekwencją uznawania zasady, że można dokonywać reform wyłącznie gospodarczych, pozostawiając nie reformowaną sferę polityczną.

— Godzi się przypomnieć, że Włodzimierz Lenin opowiadał się wprost za tendencyjnością w literaturze i sztuce, a także w nauce. Uważał, że tendencja (a miał na myśli marksizm), jako wybór tematu a także metody badawczej bardziej sprzyja osiągnięciu prawdy, gdy tymczasem „burżuazyjny obiektywizm”, będący, jego zdaniem, nieczym innym jak tendencyjnością zakamuflowaną, sprzyjał interesom klas posiadających. Dotychczas odwoływaliśmy się do założeń marksizmu, powtarzając za Leninem, iż nie ma to jednak oznaczać fałszowania faktów naukowych, lecz ich interpretację. Jak więc zarysowuje się teraz przyszłość przed politologią w Polsce w związku z zachodzącymi procesami politycznego pluralizmu. Czy zasadne są, pańskim zdaniem, obawy niektórych kół prosocjalistycznych przed ideologiczną konfrontacją w naukach społecznych?

— Najpierw uwaga w związku z wypowiedziami W. I. Lenina o „burżuazyjnym obiektywizmie” i o potrzebie „klasowości” i „tendencyjności” w interpretowaniu zjawisk i procesów społecznych. Jest to problem szerszy, skomplikowany i wymagający odrębnej analizy. Dla potrzeb naszej rozmowy chcę tylko podkreślić niezbędność historycznego ujmowania problemów. Często Leninem „podpieramy się” nie biorąc pod uwagę kontekstu, w jakim były te słowa wypowiedziane. Jest to swoista manipulacja w nauce i polityce.

— Czy nie sądzi pan, że stopniowa „obiektywizacja” nauk społecznych w państwach obozu socjalistycznego łącznie z szerokim zakresem uproszczenia i reperywalizacji gospodarki oraz demokratyzacji polityki, przy jednoczesnym zwiększaniu się na Zachodzie roli państwa w gospodarce doprowadzi do zbliżenia modelu państwa kapitalistycznego i socjalistycznego?

— Należy się do tej kwestii odnieść odrębnie z punktu widzenia dnia dzisiejszego i przyszłości, a ponadto w obu wypadkach brać pod uwagę zmieniające się uwarunkowania międzynarodowe i wewnętrzne. W ostatnich latach zostały sformułowane i przyjęte przez społeczność międzynarodową tezy o nieprzenoszeniu sprzeczności ideologicznych do stosunków międzynarodowych oraz o przyznaniu prymatu globalnym wyzwaniom rozwojowym nad interesami klasowymi. Obie tezy, sformułowane, jak wiadomo, przez Michaiła Gorbaczowa, zmieniają w zasadniczy sposób strukturę i rolę czynników klasowych i systemowych na arenie światowej, a punkt ciężkości w stosunkach międzynarodowych przenosi z bliższej lub dalszej konfrontacji na bieżące i perspektywiczne stałe współdziałanie. Wobec tego, przed naukami politycznymi po obu stronach inaczej niż dawniej zarysowują się cele, horyzonty dociekań i metody badań, gdyż inna niż dawniej, a obu stronom dziś wspólna, staje się inspiracja badań. W tym sensie dawniej, w sposób uproszczony przedstawiany problem konwergencji (tj. stopniowego łączenia się systemów) staje w nowym świetle.

— Czy można więc użyć sformułowania, że politologia staje się w obecnej sytuacji mniej doraźnie usługowa wobec władzy, ponieważ same oczekiwania władzy są już inne?

— Sądzę, że usługowość ta (dobrze pojęta) nie znikła całkowicie, ale jest ona dzisiaj po obu stronach nakierowana bardziej na rozwiązywanie globalnych wyzwań rozwojowych współczesnego świata, na kooperację i współdziałanie. Dopóki panuje międzynarodowe odżreżenie, a myślimy nadzieje, że jest to proces trwały, choć o jego utrwalenie trzeba dalej zabiegać, tendencja usługowości o charakterze konfrontacyjnym posiada wyraźnie zawężony popyt.

— A w płaszczyźnie wewnętrznej?

— Jak wiadomo, w krajach socjalistycznych zachodzą ogromne przeobrażenia w obszarach dotyczących funkcjonowania społeczeństw, państw, gospodarek, polityki i samej doktryny socjalizmu. Ma w tym swój udział nauka, a więc i nauki polityczne. Jednak trzeba podkreślić, że w wielu przypadkach praktyka wyprzedza naukę. Nie jest to sytuacja normalna — konsekwencja jej mogą być błędy, zjawiska niepożądane, wzrost napięć, sprzeczności. To co — moim zdaniem — najważniejsze obecnie, to naukowe zanagromadzenie przemian w kierunku opanowania kryzysu i równowagę tworzenie nowego, demokratycznego i sprawnego systemu społeczno-polityczno-gospodarczego. Chodzi także o opracowanie strategii rozwoju społeczno-gospodarczego i wariantów polityki tej strategii realizujących.

— W niektórych środowiskach prosocjalistycznych może to budzić i już nieraz budzi obawy przed utratą tożsamości, gdy kiedyś się z oczu spędzą konwergencja. Dziś przybiera to inną postać, że mianowicie — ci bogatsi w dobra materialne powszechnego użytku zdominują — przy swobodnych kontaktach międzynarodowych — swoim systemem życia i systemem wartości partnera uboższego, będącego ciągle na cywilizacyjnym dorobku. Kogo bo-

dóbr, nie zaś w sferze sposobu ich wytwarzania. Trzeba też podkreślić, że poród nowego ustroju, który odbywał się w kraju zafalowanym cywilizacyjnie i gospodarczo a ponadto wyniszczonym wojną, musiał być porodem trudnym. Dysponując u podstaw budowy nowego systemu tylko ogólnikowo określonymi celami i metodami ich osiągnięcia, próbowano nagiąć woluntarystycznie do tych celów życie — albo inaczej — przystosować życie do subiektywnych metod. Nie zwrócono uwagi na potrzebę stworzenia nowej teorii i polityki produkcji. W tej trudnej sytuacji pojawił się stalinizm, który zwiastował w swych początkach mógł niektórym dawać się elementem ładu i stabilizacji, a który zaczął wkrótce z całą bezwzględnością niszczyć wszelkie zarodki wariantowości i racjonalności rozwoju. Dziś, gdy zadajemy sobie pytanie, czy obecne reformy nie są wodą na młyn zwolenników konwergencji, musimy przede wszystkim powiedzieć, że to, co robimy, jest co najmniej przyznaniem się do tego, iż dawniejsze radykalne, subiektywne rozwiązania, jak np. wzrost biurokratycznego centralnego planowania połączonego z niszczeniem rynku czy przymusowa kolektywizacja nie liczyły się z obiektywnymi prawami i wymaganiami rzeczywistości. Reformy są więc niezbędne, choć bardzo późnionymi korekturami, przywracającymi, rozumiejąc, życie okresowi przejściowemu.

— Mógłby ktoś powiedzieć, że oto jeszcze raz, lecz tym razem inaczej „przerabiamy” ów, zdawałoby się, miniony, niedokładnie wyuczony okres przejściowy...

— W pewnym sensie tak. Dziś jednak trudno się wypowiadać o problemach pogłębiania tożsamości ustrojowej (dywergencji) czy konwergencji, ponieważ realny socjalizm jako kompleksowy system jeszcze się po prostu nigdzie nie wykształcił. Toteż rodzi się pytanie: czy konwergencyjność może zachodzić już na etapie wczesnym wykształcania się socjalizmu? Któż na to odpowie?

— A czy spróbowałby pan określić, w jakim punkcie rozwoju znajdujemy się obecnie w Polsce, i jakim decyzjom należałoby w związku z tym przyznać pierwszeństwo?

— Nie ma w tym przesady, że Polska w ramach systemu socjalistycznego jest państwem, gdzie zachodzą najbardziej radykalne i kompleksowe przemiany. To, co się u nas dzieje, jest globalnym procesem przewrótów, a zasięg jego jest tak wielki, że ostateczne konsekwencje są w poważnym stopniu niejasne i nie możemy mieć całkowitej pewności, co reformy nam przyniosą. Jest to fascynujące, choć nie wolne od niebezpieczeństw. To niebezpieczeństwo czuje zarówno władza, jak i część opozycji...

— Jestem jak najgorszym mniemania o świadomości ekonomicznej społeczeństwa. Czy jest ono w ogóle w stanie pojąć, jaka droga prowadzi do poprawy życia, a dowodem tego jest łatwość, z jaką każdy przygodny krzykacz może rozpętać w środowisku pracy żądania roszczeń. Instynkt samobójczy jest głównym motorem naszych postaw ekonomicznych, a samobójców żaden rząd nie powstrzyma, toteż wyznaje czarny pesymizm.

— Popierając pański osąd co do stanu świadomości ekonomicznej społeczeństwa, uważam, iż winę za ten stan ponosi nie tyle społeczeństwo, ile długoletnia wadliwa polityka społeczno-gospodarcza i propagowanie błędnego modelu omnipotencji państwa, wskutek czego odzwyczailo ludzi od myślenia, że będzie w kraju tylko tyle do podziału, ile się wypracuje i ile korzystnie sprzeda za granicę. Zawiniły też: niewłaściwy stosunek władz do inteligencji, zwłaszcza twórczej, nieuzasadnione nobilitowanie pracy prostej uleganie prymitywnym tendencjom populistycznym, zia polityka kadrowa itp.

— Cóż z tego, że znamy winowajców! Nie zwalnia to społeczeństwa od obowiązku myślenia mądrze, jeśli chce ono sobie pomóc i się uratować.

— To prawda. Potrzebne jest mądre myślenie i mądre działanie. Osobiście sądzę, że przede wszystkim należy szybko, jasno, dobitnie i wyraźnie powiedzieć społeczeństwu, jak bardzo zły jest stan gospodarki i jak skomplikowane są jej perspektywy. Mówi się na ten temat dużo, ostatnio np. przy okrągłym stole, ale istota problemu, tj. prosto, przejrzysto ujęte zagrożenia i drogi ich pokonania giną w potoku słów i powiedzmy szczerze, braku koncepcji. Dezorientacja i wiara w cuda gospodarcze jest poważną i niebezpieczną cechą współczesnej świadomości Polaków. Potrzeba więc autorytatywnej jasnej diagnozy i odważnego, otwartego ukazania dróg i metod rozwojowych. Mówię odważnego, gdyż nie wolno ukrywać, że przed nami trudne czasy. Nie obejdzie się bez wprowadzenia surowego reżimu placowo-dochodowego (w konfrontacji ze wzrostem produkcji i wydajności pracy), pogodzenia się z możliwościami pojawiania się nadwyżek siły roboczej i kadr, zreformowania systemu świadczeń socjalnych, zasadniczego zwiększenia wysiłku eksportowego itp. Są to konstatacje i przewidywania bolesne. Idą czasy, kiedy trzeba dużo więcej i lepiej wytwarzać, a mniej dzielić. Te trudne perspektywy mogłyby złagodzić wydatne zwiększenie współpracy z zagranicą, a przede wszystkim wydatna pomoc kapitałowa. Tylko kto jej nam udzieli i za jaką cenę? Nie widać wielu chętnych. Mimo tych niekorzystnych (czy nawet niebezpiecznych) uwarunkowań rozwojowych, biorąc pod uwagę wszystkie dostępne rezerwy — te materialne i te ludzkie, a przede wszystkim okoliczność, że dążenie do rozwiązania naszych polskich spraw staje się coraz bardziej powszechne — a to na nie zachodzących reform — reprezentuję w konsekwencji przekonanie, że pokonamy kryzys.

— Zazdroszczę panu optymizmu i dziękuję za podzielenie się z nami swoimi przemyśleniami.

Rozmawiał: JERZY KWIECIŃSKI

powiedział Geoffrey Howe i dodał, iż rządowi irańskiemu polecono zamknięcie konsulatów w Hongkongu. Rzecznik spraw zagranicznych w gabinecie cieni — Gerald Kaufman wyraził poparcie dla stanowiska rządzącej partii konserwatywnej i podkreślił, że poza Libią, żadne państwo muzułmańskie nie poparło wezwania ajatollaha Chomeiniego.

Spółeczność irańska w Wielkiej Brytanii liczy ponad 25 tysięcy osób. Wśród 20 wydanych irańskich wiz, większość stanowią studenci, którzy byli zatrudnieni przy ambasadzie Iranu w Londynie i kierowali działalnością organizacji społecznych oraz rewolucyjnych organizacji muzułmańskich takich jak Islamski Związek Studentów, który formalnie zadeklarował wykonanie wyroku imama z Teheranu na Salmana Rushdiego. Pozostali wydaleniu irańczyków podejrzani są o współpracę z wywiadem irańskim. Według dobrze poinformowanych źródeł irańskich, taka akcja, usunięcia ludzi „którzy stanowią sprężynę wszelkiej działalności, może znacznie ograniczyć niebezpieczeństwo zamordowania Rushdiego, ale nie wyeliminuje go zupełnie”. Londyńskie popołudniówki przyniosły sensacyjną wiadomość, iż do Anglii przedostali się pierwsze z licznych „szwadronów śmierci” strażników rewolucji, które odpowiedziały na wezwanie ajatollaha. Mająca swoją siedzibę w Libanie, jedna z najbardziej fanatycznych organizacji terrorystycznych, Organizacja Sprawiedliwości Rewolucyjnej oświadczyła, że zakończono przygotowania do zamordowania Salmana Rushdiego. Ostrzeżono również brytyjską policję, iż obiektem ataku stała się również wszystkie jednostki policji strzegące domu Salmana Rushdiego. Aby zapewnić, że ostrzeżenie jest w pełni autentyczne, przesłano je wraz z aktualnym zdjęciem Edwarda Austina Tracy, jednego z dwóch zakładników amerykańskich przetrzymywanych w Libanie od 1987 roku.

Bluznierstwo trzeba karać

Sprawa Salmana Rushdiego sprawiła, iż kwestia „tygla wielonarodowościowego” w Europie Zachodniej nabrała nowego znaczenia. Prasa zalewana jest listami od czytelników, liczni komentatorzy i artykule poświęcone nie tylko stosunkom ludności muzułmańskiej, ale również stosunkom między innymi grupami etnicznymi, między żydami i chrześcijanami. Główny rabin Londynu wystąpił przeciwko publikowaniu jakiegokolwiek dzieła, które by mogło się przyczynić do wywołania niepokojów społecznych, obrażaloby uczucia i przekonania całego społeczeństwa lub jednej z wchodzących w jego skład grup. Wypowiedź ta stała się obiektem krytyki ze strony społeczności żydowskiej. Niektórzy jej przedstawiciele uważają, że jest to „worek, w który można wrzucić tak dużo, iż doprowadziłoby to do rządów totalitarnych, dyktatury lub rządów teokratycznych”.

Władze lokalne nie wydały zezwolenia na założenie w West Yorkshire szkoły islamskiej dla dziewcząt. Decyzję tę motywowano między innymi różnicami w wychowywaniu dziewcząt według zasad Koranu i we współczesnej szkole angielskiej. Ale w Bredford, gdzie ludność azjatycka znajduje się w przeważającej większości, przyjdzie kiedyś żyć obok siebie młodym kobietom angielskim i muzułmankom brytyjskim. Sytuacja jest na tyle skomplikowana, że doszło do pomieszenia pojęć: maho-metazm, niegdyś potępiany przez chrześcijaństwo teraz jest przez to samo chrześcijaństwo brzo-niony.

— Okażcie swój szacunek islamowi i nie czytajcie „Szatańskich werseł” — grzmiał z ambon katedry pod wezwaniem Świętego Patryka w Nowym Jorku kardynał tego miasta O'Connor.

Tomasz z Akwinu, Luter,

do umiarkowanych państw rejonu Zatoki Perskiej, traktuje całą sprawę ze szczególną ostrożnością. Między Iranem a Dubajem istnieją bardzo silne więzy gospodarcze. W Dubaju mieszka duża społeczność irańska, wśród której znaczną rolę odgrywa zwolennicy Chomeiniego. W Dubaju, przed konsulem Wielkiej Brytanii, ustawiają się długie kolejki irańczyków starających się o wizy brytyjskie. Z drugiej strony rządząca w tym państwie rodzina królewska al-Maktoum ma bardzo bliskie powiązania z Wielką Brytanią. Jej czterech członków należy do największych potęg wyścigów koni na Wschodzie Brytyjskich. Tylko w ubiegłym sezonie odnieśli oni w sumie 287 zwycięstw w wyścigach koni zarabiając nagrody na sumę 2 i pół miliona funtów.

Na zakończonej konferencji państw islamskich, pomimo nacisków Teheranu, państwa mu-

zysem rządowym Sudanu — w Chartumie tysiące muzułmanów domagało się głowy Salmana Rushdiego. Podobnie było w Dakce, gdzie dziesiątki tysięcy ludzi skandowało: „Dostanemy Rushdiego”. W Malezji zakazano sprzedaży „Newsweeka” i wydawanego w Hongkongu — „Far Eastern Economic Review”, które opublikowały fragmenty książki. Ale szumek polityczny dotyka nie tylko państw muzułmańskich.

Moskwa nie będzie rozjemcą.

Gdy rozeszła się sensacyjna wiadomość, że ajatollah Chomeini przyjmie na specjalnej audycji odbywającego objazd państw Azji radzieckiego ministra spraw zagranicznych Eduarda Szewardnadze, co jest, biorąc pod uwagę pustelniczy tryb życia schorowanego

Iran odwraca twarz od Europy.

Wkrótce Brytyjczycy musieli przekonać kolejkę gorzką pigułkę. Nie wystarczyło, że na pogrzeb cesarza Hirohito, wbrew licznym protestom weteranów drugiej wojny światowej, udał się książę Filip, to Japończycy, pomimo nieznacznych kroków dyplomatycznych, które można zinterpretować jako potępienie wyroku, niepostrzeżenie zajmują rynek irański. I to nie tylko gospodarczy. Persja była terenem badań archeologicznych i naukowych angielskich i włoskich ekip badawczych. Od czasów rewolucji islamskiej badania te uległy drastycznemu ograniczeniu. Japończycy zresztą wykorzystali to i dzisiaj, w tak „włoskich” obiektach historycznych jak mauzoleum Mongolskich Sultatów w Uljeu królują Japończycy. Attaché gospo-

komentatorzy zastanawiają się nad sprawą „Szatańskich werseł” w kontekście wewnętrznych problemów kraju. Po fali protestów, do jakich doszło w Paryżu, mer stolicy — Jacques Chirac powiedział, że w cywilizowanym świecie nie może dochodzić do publicznego nawoływania do wykonania wyroku śmierci na pisarzu, który prezentuje swoje prywatne poglądy. Groźby mnożą się. Mnożą się też pod adresem Veronique Sanson, francuskiej piosenkarki, której występ w „Olimpi” poprzedziło wydanie płyty długogrającej, pod zapalnym tytułem — „Allah”. W paryskim „Le Monde” Henri Tincq zastanawia się, jak w obliczu nadchodzącej dwusetnej rocznicy Rewolucji i rozwoju walki o wolność i prawa człowieka, będzie teraz wyglądała sytuacja francuskich muzułmanów.

„Wolność sumienia — czy to jest to, na co nie zezwala islam. Posłuszeństwo wobec literatury prawa religijnego, przestrzeganie nauk imamów i prawa małżeństwa muzułmańskiego — czy wygląda to tak samo w państwie muzułmańskim, jak i w kraju, w którym państwo oddzielone jest od religii? Czy prawo koraniczne jest w ogóle zdolne do reformy wynikających z powszechnej deklaracji praw człowieka, której państwa muzułmańskie przecież nie podpisały?”

Wprowadzie klimat społecznych napięć nie jest odpowiedni do zastanawiania się nad takimi pytaniami, to jednak muzułmańscy intelektualści, którzy usiłują odbudować humanistyczne wartości islamu, mogą nie czuć się osamotnieni — napisał Henri Tincq.

Salman Rushdie chwali Philipa Rotha.

A tymczasem Salman Rushdie dalej pozostaje w ukryciu. Skąd wysłał do londyńskiego „Observera” swój pierwszy artykuł od czasu ogłoszenia wyroku. Jest to recenzja najnowszej książki amerykańskiego pisarza, żydowskiego pochodzenia, Philipa Rotha — „Fakty”. Jest to autor wybrany nie bez kozery. Po opublikowaniu w 1959 roku swojej pierwszej książki Philip Roth stał się obiektem zajadłej krytyki społeczności żydowskiej w Stanach Zjednoczonych i poza ich granicami. Philip Roth czuje się zaszczycony, że Salman Rushdie w takiej chwili swojego życia wybrał książkę właśnie jego. Amerykanin podziwiał odwagę i pisze, że ze strony Salmana Rushdiego jest to „coś więcej niż tylko zwykłe pocieszenie solidarności pisarskiej i gdy tylko powróci do normalnego życia i on i jego żona mają u mnie kolację w najdroższej czterogwiazdkowej restauracji. I nawet Rushdie może ją sobie wybrać”.

MAREK BRZEZIŃSKI

Bluznierstwo, kara i gra sprzecznych interesów

Kalwin, a nawet Erazm z Rotterdamu, wszyscy oni uważali, że bluznierstwo powinno być karane śmiercią. Chrześcijaństwo, poddane wpływowi Oświecenia porzuciło taki sposób rozumowania, przy którym wciąż trwa islam. „To trochę tak, jak ktoś kto zwraca z obrzydzeniem uwagę drugiemu — dlaczego bijesz żonę, skoro ja już dawno przestałem bić swoją” — pisze w „Timesie” Conor Cruise O'Brien.

Brytyjska rodzina królewska zdaje się postępować według zasady „Panu Bogu święce, diabłu ogarek”. Księżniczka Diana, która wraz z mężem, następcą tronu, księciem Karolem składała wizytę w Dubaju, wystąpiła w gustownym, białym, czarnym kapeluszu, który zadławił najwybredniejsze gusty dyktatorów mody, a jednocześnie usatysfakcjonował surowych władców tego drugiego, najbogatszego kraju arabskiego. Księżniczka Diana, która nie skryła twarzy pod kwefem, ale chusta-wał doskonale przysłaniała włosy i uszy księżniczki, co jak na europejską kobietę jest szczytem skromności i zostało powitane z zadowoleniem przez szeika Maktouma i jego najbliższe otoczenie. Para królewska została przewieziona w kuloodpornym „Mercedesie” prosto z lotniska do pałacu szeika Zastrzeżono środki ostrożności.

Wizyta spotkała się z gwałtowną reakcją Iranu. Radio Teheran, które określiło wizytę jako „bez wątpienia dobrze wykalibrowaną podróż, która ma przynieść oczywiste korzyści rządowi Wielkiej Brytanii”, zapytywało: — „Jak to możliwe, aby następcę tronu brytyjskiego składał wizytę w państwie islamskim w chwili, gdy rząd brytyjski stara się ze wszelkich sił wymierzyć cios islamowi i obrazić naszęgo szlachetnego Proroka?” Rząd w Dubaju, który należy

do umiarkowanych państw rejonu Zatoki Perskiej, traktuje całą sprawę ze szczególną ostrożnością. Między Iranem a Dubajem istnieją bardzo silne więzy gospodarcze. W Dubaju mieszka duża społeczność irańska, wśród której znaczną rolę odgrywa zwolennicy Chomeiniego. W Dubaju, przed konsulem Wielkiej Brytanii, ustawiają się długie kolejki irańczyków starających się o wizy brytyjskie. Z drugiej strony rządząca w tym państwie rodzina królewska al-Maktoum ma bardzo bliskie powiązania z Wielką Brytanią. Jej czterech członków należy do największych potęg wyścigów koni na Wschodzie Brytyjskich. Tylko w ubiegłym sezonie odnieśli oni w sumie 287 zwycięstw w wyścigach koni zarabiając nagrody na sumę 2 i pół miliona funtów.

Na zakończonej konferencji państw islamskich, pomimo nacisków Teheranu, państwa muzułmańskie nie poparły wezwania ajatollaha Chomeiniego. Poprzeszali zaledwie na przyjęciu uchwały o zakazie sprzedaży „Szatańskich werseł” oraz o bojkocie wydawców książki „Penguiń” i „Vikinga”, a Arabia Saudyjska wyraziła opinię, że Salman Rushdie powinien stanąć przed legalnym sądem muzułmańskim, zanim podjęte zostaną jakiegokolwiek dalsze kroki. Iran zapewne liczył się z takim obrotem sprawy, bo na konferencji ministrów spraw zagranicznych nie udało się irańskiemu ministrowi Ali Akbar Velajati, lecz przedstawicieli Ministerstwa Kierownictwa Islamskiego — Mohamed Ali Toskhiri. I trudno się dziwić: rząd Arabii Saudyjskiej prowadzi zdecydowanie prozachodnią politykę. Umiarkowane kraje — Egipt i Pakistan są zbyt zależne od pomocy USA, a Turcja zbyt zależy na przyjęciu do EWG, aby ryzykowały swoje interesy dla jakiegoś pisarza. Iran zamierza jednak zbliz interes na całej aferze i chce się kreować na przywódcę świata muzułmańskiego. I o ile z rządami państw muzułmańskich sprawa ma się niespecjalnie, o tyle społeczeństwa muzułmańskie na całym świecie zdają się pozytywnie odpowiadać na wezwanie Chomeiniego.

W Nigerii setki tysięcy demonstrantów domagało się głowy Salmana Rushdiego i... Wole Soyinka, laureata nagrody Nobla, który „ośmielił się” poprzeć Salmana Rushdiego. W Indonezji, rząd w obawie przed rozruchami zakazał rozpowszechniania książki. Rabin Izraela wypowiada się bardzo ostrożnie, ale przeciwko książce bojącej się jeszcze większego zaostrzenia i tak wracając rejonu Gazy i terytoriów okupowanych. W stolicy roddartego wojna domowa z muzułmańskimi rebeliantami, nekane go głodem, szarpanego kry-

ajatollaha, wydarzeniem bez precedensu, brytyjski minister spraw zagranicznych — Geoffrey Howe zwrócił się do swojego radzieckiego odpowiednika z naleganiem, aby Związek Radziecki zdecydowanie poparł stanowisko Zachodu w sprawie Salmana Rushdiego. Rozczarowanie rządu brytyjskiego było bardzo duże. „Szewy” — jak pieszczotliwie nazywają Eduarda Szewardnadze dziennikarze zachodni — wcale nie poruszył sprawy Salmana Rushdiego. Przeprowadził rozmowy z ajatollahem Chomeinim na temat sytuacji w Afganistanie. Iran, na którego terytorium znajdują się bazy ośmiu ugrupowań szyickich nie uwzględnił w „surze” — afgańskim rządzie tymczasowym — jest szczególnie tym zainteresowany. Eduard Szewardnadze przekazał również list Michał Gorbaczowa do ajatollaha Chomeiniego. Miał on zawierać odpowiedź na list Chomeiniego ze stycznia 1989 r., w którym stwierdził, że „komunizm ostatecznie się zaważył i udowodnił swoją niemoc” i zalecił Michailowi Gorbaczowowi, aby zaczął studiować Koran.

Po tej wizycie obydwie strony stwierdziły, że nadszedł nowy rozdział w stosunkach między Iranem a Związkiem Radzieckim. Komentatorzy uważają, że władze radzieckie obawiają się reakcji silnej społeczności muzułmańskiej zamieszkującej w ZSRR oraz że dbają o dobre stosunki z Iranem, który jest tradycyjnym obiektem zainteresowania Rosji. Niektórzy sugerowali, że Związek Radziecki chce odgrywać rolę mediatora w sprawie Salmana Rushdiego. Ale w Wiedniu, w czasie kolejnej rundy rokowań rozbiorczych Eduard Szewardnadze poinformował Geoffrey'a Howe'a, że Moskwa nie ma zamiaru przyjąć roli mediatora między Teheranem a Zachodem.

darczy Iranu w Bonn, przed podjęciem decyzji przez państwa dwunastki, ostrzegł, że Iran w przypadku nałożenia sankcji przez EWG zwróci się w stronę Południowej i Północnej Korei, Singapuru i Japonii. I jak postanowił, tak zrobił. Irańczycy bez specjalnego rozgłosu otworzyli konsulat w Szanghaju i jak wy-daje się ich uwaga zwrócona jest przede wszystkim na Daleki Wschód.

Jakby było tego jeszcze mało, premier Nowej Zelandii — David Lange odmówił udzielenia poparcia stanowisku EWG wobec Iranu. Szok w Londynie był podwójny, a to z tego powodu, że Wielka Brytania w dalszym ciągu chociaż nieoficjalnie, to jednak traktuje Australię, Nową Zelandię, i parę innych państw jako swoje strefy wpływów i ma w stosunku do nich takie oczekiwania jak nadopiekuńcza matka do syna-jedynaka.

Decyzja Nowej Zelandii ma ściśle ekonomiczne podłoże. Iran jest drugim po Wielkiej Brytanii odbiorcą baraniego mięsa. Zyski z tego wyniosły w 1988 roku ponad 33 miliony dolarów i rząd w Wellingtonie nie widzi powodu, żeby dla sprawy jednego pisarza rezygnować z podstawowej gałęzi swojego eksportu. Jednakże Nowa Zelandia cieszy się w EWG specjalnymi względami. Rada Ministrów EWG zezwoliła temu państwu na eksport 245 tysięcy ton mięsa baraniego do państw dwunastki. Ponad połowa tego idzie na Wyspy Brytyjskie. Teraz Francja i Irlandia, które same są zainteresowane sprzedażą mięsa baraniego i nie widzą powodu, dla którego ktoś spoza Wspólnoty miałby mieć do tego prawo, podniosły larum, że skoro Nowa Zelandia nie popiera stanowiska EWG, to ni-by dla czego EWG ma dawać specjalne ulgi Nowej Zelandii. We Francji dziennikarze i

W Łodzi nie będzie pasażerskiego lotniska!

LOT EM ANI BLIŻEJ, ANI TANIEJ



Kiedy Zbigniew Dąbkowski — wicedyrektor LOT-u zajmujący się sprawami handlowo-przewozowymi zaczął 150 dziennikarzom przedstawiać koncepcję lotniczej obsługi pasażerskiej kraju stało się jasne, że my, łodzianie możemy porzuciwszy wszelką nadzieję, już o nie nie pytamy. Na otwartym niedawno salonie bielenym i autokarach wozących nas na lotnisko Okęcie sprawa się kończy. Liczba linii

krajowych będzie nadal ograniczona. Wobec szybkiego i coraz punktualniejszego ekspresu kolejowego, autobusów PKS, wreszcie rosnącej ilości samochodów — LOT ze swymi czasochłonnymi dojazdami na odległe podmiejskie lotniska (niekiedy 30-40 km), odprawami, kontrolami bezpieczeństwa itp. przestaje być przewoźnikiem szybkim. Nie mówiąc już o kosztach biletów i utrzymywania personelu lotnisk

przewyższających niekiedy liczbę odprawianych pasażerów.

Nowa koncepcja zakłada że w lotach międzynarodowych, po drodze np. do Londynu czy Helsinki, zabierani będą pasażerowie w Katowicach, Krakowie czy Gdańsku. Ci ostatni także na otwieranych wkrótce liniach do Wilna, Mińska i Leningradu. Tak więc wizja Boeingów lądujących i startujących z Lublinka jakby nam się oddalała.

Jeden B-767 już maluje się w lotowskie barwy, drugi kupimy na pewno, o trzeci pertraktujemy. Po prostu — jak mówił dyr. Zbigniew Dąbkowski — nie mogliśmy sobie pozwolić na co najmniej 5-letnie oczekiwanie radzieckiego, szerokokadłubowego IL-96. Nie pozwalali na to względy handlowe i prestiżowe. „Aeroflot” sam mający podobne kłopoty wszedł np. w spółkę z liniami „PANAMERICAN” i eksploatują Boeinga 747 na pół: 200 foteli ma w maszynie „Aeroflot”, 200-PAN. Generalnie jednak z dostaw radzieckiego sprzętu latającego nie rezygnujemy i czekamy na nowoczesne samoloty.

LOT lata coraz dalej. Otwarto nowe linie do Singapuru, Dubaju, Barcelony, latamy stałymi czarterami do Sydney i do Tokio po wycieczki japońskich związków. Do Warszawy prowadzi 17 linii światowych. Rocznie przez klasę Okęcie przewija się blisko 2 i pół miliona pasażerów. 7 października 1988 r. padł rekord — 10 tys. podróżnych!

Wszystko w tych dwóch ciasných halach, z których pawilon przylotów jest po prostu przystosowanym filskim supermarketem. Już w marcu 1989 r. rozstrzygnięto przetarg na budowę Okęcia II. Roboty zaczną się jesienią. Za trzy lata nowy port lotniczy w Warszawie

obliczony na obsługę ponad 3 milionów podróży rocznie ma być gotowy.

W październiku 1989 r. z okazji 60-lecia LOT-u odbędzie się w Warszawie uroczysta sesja IATA, czcąc zarazem 60-lecie wydania Konwencji Warszawskiej — czyli zbioru przepisów obowiązujących w lotnictwie cywilnym całego świata. Clou programu stanowić ma odwołanie najnowocześniejszego w tej części Europy Airtterminalu i jedynego w Polsce 5-gwiazdkowego hotelu LOT-u. Będzie tam też więcej stanowisk obsługi klientów niż teraz jest w całej Warszawie w Locie „Aeroflocie”, „In terflug”, „Sabenie” itp. Likwidacja kolejek murowana!

LOT zapowiada atrakcje kulinarne, nawet polskie soki z kartonowych opakowań (orobowaliśmy zarną porzeczkę — znakomita!) i 15 nowych deserów z „Hortexu”. W Jambo-Jetle będą programy wideo i muzyka stereo. Martwią tylko dwie sprawy: bilety w tych samolotach kupować trzeba częściowo za dewizy, bo maszyny kosztują majątek a i tak spłacać je będziemy przez 15 lat. I druga, że normalnie serwowana do dań lotowskich „Wyborowa” pasażerowie otrzymywali będą (na talonik) po wyjściu z samolotu. Wobec tak cennego i technicznie skomplikowanego odrzutowego wehikułu nie stać nas nie tyle na sprzątaczkę, ile na jakiegokolwiek ryzyko.

WIESŁAW MACHEJKO

praca studenta będzie odkrywczą i trafi w sedno; anonimowo posuwając naprzód prace badawcze.

Jak wygląda proces dydaktyczny na wyższej uczelni? Studenci to z reguły ludzie, którzy podejmują naukę dobrowolnie, chcąc głębiej poznać pewną wąską dziedzinę wiedzy, która ich interesuje czy nawet pasjonuje. Wykładowca ma im w tym pomóc. Nauczyciel akademicki powinien być specjalistą w swojej dziedzinie, skoro podejmuje się prowadzenia ćwiczeń, konwersatoriów czy wykładów — jest po to, by studenta zainteresować prowadzonym przez siebie przedmiotem. Choćby poprzez zapoznanie go z tematem i postępowaniem w tej pracy badawczej, najnowocześniejszymi technikami doświadczalnymi czy poprzez przedstawienie mu osiągnięć naukowców z innych krajów, których prace są z reguły niedostępne z racji niesprowadzenia wielu zagranicznych czasopism przez polskie biblioteki. Ale tak nie jest. Na ogół wykłady sorowadzą się do dyktowania notatek wykonanych przez wykładowcę podczas opracowywania skryptu. Często podawane są jedynie suche definicje czy pojęcia, które przeczytać można w podręcznikach.

Studenci Wydziału Mechanicznego na czwartym roku przerabiają kurs fizyki dokładnie pokrywający się zakresem z kursem szkoły średniej, uczą się o diodach czy triodach, które już dawno zastąpione zostały tranzystorami, a obecnie tranzystory zastępują się układami scalonymi. Nie neguję potrzeby zapoznawania przyszłych inżynierów z dawnymi rozwiązaniami technicznymi, jeżeli poznanie kolejnych etapów postępu technicznego pozwoli im lepiej zrozumieć zasady działania urządzeń najnowszych. Jednakże na Wydziale Mechanicznym studenci doskonale poznali działanie i charakterystyki lamp i tranzystorów wcześniej, w ramach przedmiotu o nazwie elektrotechnika; uczęszczali na wykład, ćwiczenia i wykonywali doświadczalne pomiary w laboratoriach. Przedmiot prowadzony był przez trzy semestry. Wszyscy już zdali

Targowisko wiedzy

egzamin. Zatem powtarzając tematy studentom wlicza się do głów wiele nieprzydatnych już informacji, zamiast stawiać przed nimi konkretne praktyczne zadania.

Jak studenta traktuje pracownik naukowy.

Inżynierom, którzy wykładają na politechnice nie chce się wytłumaczyć problemów, więc odsyłają studentów do literatury. Literatura zalecana zwykle pochodzi z roku 1957 czy 1964. Jaka jest obecnie wartość rozwiązań technicznych w nich zawartych? Nie ma nowych publikacji. Na wykładach też nie zapoznaje się słuchacz z najnowszymi rozwiązaniami technicznymi. Podaje się z reguły gotowe rozwiązania zadań, składające się z wielu karkołomnie przekształconych wzorów. Asystent czy adiunkt przepisują rozwiązanie zadania z kartki. Studenci jak najszybciej przepisują to, co pojawia się na tablicy. Nie ma chwili na zastanowienie. Nikt nie analizuje zadania. Na analizie trzeba poświęcić czas w domu. Czy w takiej sytuacji nie lepiej byłoby rozwiązania zadań powieścić na kserokopiarce i rozdać studentom w postaci skryptu. Zaoszczędziłoby to czas zarówno prowadzącemu jak i studentom. Uniknąć wtedy można błędów, jakie zawsze pojawiać się mogą podczas mechanicznego przepisania z tablicy, gdy nie rozumie się treści. I tak większość studentów nie chodzi na wykłady. Na wykład na którym powinno być sto osób chodzi może pięć czy sześć. Widocznie pozostali uznali uczęszczanie nań za stratę czasu. Chodzą jedynie ci, którzy ufają, że wykładowca zapamięta ich twarz i to pomoże im zdać późniejszy egzamin. Ci inteligentniejsi machną na to ręką. I tak chodzenie niewiele im da, bo na egzaminie zawsze są nowe, nieznane nikomu problemy.

Kto zdaje egzamin.

Czy to zdrowa sytuacja, że przy pierwszym podejściu do egzaminu na politechnice oblewa go ponad 60 proc. zdających. Czy to możliwe, żeby wszyscy studenci byli kompletnie niezdolni lub kompletnie nieprzygotowani do nauki? Dlaczego na Wydziale Mechanicznym nie ma właściwie studenta, który kończyłby studia w terminie — po pięciu latach? Każdemu przytrafi się albo cofnięcie, albo urlop z powodu „zawalenia” sesji. Braki, które powstają na pierwszym roku ciążą na studentem w postaci kolejnych braków na kolejnych latach studiów. W tej sytuacji chyba program, zakres materiału i sposób wyłożenia szwankuje. Studenci wszędzie są tacy sami i nie jest możliwe, by ci w Polsce byli najmniej pracowici. Taka sytuacja, gdy większość studentów na roku ma problemy ze zdaniem egzaminów i uzyskaniem zaliczeń powoduje, że kara jaka jest dwójka powszednie. Nie ma tuż ambicji, by zdać na taką ocenę, jest ambicja by w ogóle zdać i przeżyć egzaminatora bo w uczelnym sposobie się nie da. Tak więc zestresowani studenci przygotowują ściągę na każdy egzamin i decydują się nawet na płacenie za powiększenie prawdopodobieństwa pozytywnego zaliczenia egzaminu. I opłaca im się, bo ponawia to ich samopoczucie psychiczne. Już na pierwszym roku doświadczali jak prowadzący zajęcia traktują studentów. Zdolność i praca nie mają znaczenia, nie są gwarancją zdania egzaminu, bo zalicza do egzaminu wcale nie przygotowanego. Nowatki są nieprzydatne, wszystko i tak trzeba czytać z książki. Wszystko wskazuje na to, że zadaniem wykładowców jest gnębienie studentów, ponieważ są zawiadoma i zabierają im czas, który mogliby poświęcić na badania naukowe.

IWONA MARZANNA KNYPL

Dlaczego jest tak źle, skoro jest tak dobrze?

Przychodzi student do lekarza...

MONIKA MATUSZAK

... i narzeka. Niezadowolenie z pracy służby zdrowia jest obecnie zjawiskiem powszechnym, zazdrości się tym, którzy mają własną przychodnię i szpital — do takich szczęściwców zalicza się m.in. studentów. Już mistrz Jan Kochanowski powiedział: „Szlachetne zdrowie, / Nikt się nie dowie, / Jako smakujesz, / Aż się zepsujesz. / Tam człowiek prawie / Widzi na jawie / I sam to powie, / Ze nie nad zdrowie / Ani lepszego, / Ani droższego...” A że o zdrowie należy już dbać za młodu, warto więc sprawdzić, co sądzą studenci o tym, jak się ich leczy. Nie od dziś krąży barwne opinie o działalności Zespołu Opieki Zdrowotnej dla Szkół Wyższych popularnie zwanego „Palmą”, oto rezultat krótkiego sondażu wśród pacjentów.

Jolanta z Uniwersytetu: — Na samą myśl o czekaniu kilka godzin (dokładnie cztery) na badania okresowe robię się chora. Jeśli miałabym się tam jeszcze leczyć — szlag by mnie trafił na miejscu.

Tomasz z Politechniki: — Uważam, że w działalności „Palmy” nie ma żadnej koordynacji, panuje tam zbyt duża biurokracja. Za mało jest zainteresowania samym pacjentem. Myślę, że wszyscy lekarze mają czas na swoje sprawy, rozmowy ze znajomymi w gabinecie, telefoniczne pogaduszki, brak tam tylko miejsca na leczenie. Panująca wśród większości studentów opinia na temat pracy „Palmy” nie zachęca do wizyt w przychodni.

Anna z Uniwersytetu: — Bardzo nie podobają mi się długie kolejki przed gabinetami. Specjaliści przyjmują bardzo krótko i to tylko przed południem. Niektórych specjalistów w ogóle nie ma, np. brak kardiologa. Podczas wizyty u okulisty zetknęłam się z złą kompetencją — jestem krótkowidzem, a lekarz „odkrył” u mnie dalekowzroczność!

Danuta z Uniwersytetu (przysłuchująca się wypowiedzi koleżanki): — Ja również mam zastrzeżenia do kwalifikacji lekarzy, to co mi internista w „Palmie” powiedział na temat mojej tarczycy, bardzo rozśmieszyło endokrynologa, u którego lecę się od lat. Byłam kiedyś świadkiem jak laryngolog sprawdzał słuch u pacjenta przy wóźnie pracującego za oknem miota pneumatycznego.

Piotr z Politechniki: — Nie podoba mi się sztywne przypisywanie studentów poszczególnym wydziałom do konkretnych lekarzy oraz skomplikowany i biurokratyczny system wydawania wszelkich zwolnień i zaświadczeń. Nie ma możliwości zmiany lekarza w przypadku braku zaufania do tego odgórnie narzuconego lub gdy przed moim gabinetem jest duża kolejka.

Elżbieta z Uniwersytetu: — W „Palmie” jest stanowczo za mało stomatologów. Nikt dokładnie nie wie, jakie badania i na którym semestrze student jest zobowiązany zrobić, łączy się to z uciążliwym kraśnięciem o okienka do okienka w celu zdobycia pieczątki w indeksie. Te stemple to nasza zima. Panie w rejestracji pytają, co mi dolega — jest to sprawa wyłącznie między mną a lekarzem, więc nie powinno ich to interesować — po takim śledztwie potrafią powiedzieć, że lekarz ma za dużo pacjentów i mnie nie przyjmie, a do innego iść nie mogę. Tylko wysoka gorączka gwarantuje dostąpienie łaski przebadania, ale najpierw trzeba iść na kontrolę temperatury do gabinetu zabiegowego. Często lekarz potrzebuje podpowiedzi pacjenta, aby móc postawić właściwą diagnozę.

Ewa z Akademii Muzycznej: — Chciałabym wiedzieć, jaką mam grupę krwi. Kiedyś potrzebne było skierowanie od ginekologa, teraz poprzeczka podniesiono — trzeba być w ciąży. Ciekawe, jaki warunek mają spełniać panowie? Kiedy świat żyje tragedią AIDS — u nas nie można zbadać grupy krwi!

Marek z Akademii Medycznej: — Dobrze, że w ogóle mamy własną przychodnię i szpital. Brak tylko apteki.

Barbara z Uniwersytetu: — Rozumiem, że być może wielu studentów oczekuje od lekarza wydania zwolnienia, ale nie można każdego pacjenta podejrzewać o to, że jest kombinatorem i chce się wymigać od nauki.

Z ust pacjentów padło wiele poważnych zarzutów, ale ponieważ, gdy dwóch mówi to samo, to nie zawsze jest to samo, należy więc również oddać głos drugiej stronie. Wyjaśnię zechciała udzielić dyrektor Zespołu Opieki Zdrowotnej dla Szkół Wyższych — lek. med. Wiesława Jaworska-Benczak.

— Kiedy w 1979 r. akademicka służba zdrowia otrzymała budynek przy ul. Rewolucji 1905 r. wydawało się, że jest dosyć miejsca, aby pomieścić wszystkie gabinety i pracownie. Jednocześnie poliklinowano placówki lecznicze dla szkół wyższych porzucane na terenie miasta, a gdy „ruszył” szpital — zamknięto 40-lóżkową izbę chorych na osiedlu studentek przy ul. Lumumby. Po pewnym czasie przydzielono „Palmie” także pacjentów z rejonowych przychodni z miasta — zaczęło robić się ciasno. W ZOZ akademickim działa 20 gabinetów lecznictwa podstawowego, bardzo ograniczone są możliwości do prowadzenia badań specjalistycznych. Kierownictwo „Palmy” od lat stara się o przyznanie sąsiedniego budynku, w którym mieszczą się pracownie Wydziału Stomatologii Akademii Medycznej, kiedy przeniosą się one do Centrum Kliniczno-Dydaktycznego na ul. Czecho-słowacką — znajdzie się miejsce na nowe gabinety, być może także i na aptekę. Aktualnie „Palma” nie ma żadnych możliwości rozwoju, jest to skutek trendu do skomasywania wszystkich przychodni na jednej ograniczonej, a teraz wypełnionej do granic możliwości przestrzeni. Nadmierna koncentracja nie była najlepszym rozwiązaniem, a sytuację jeszcze pogorszyło dodanie pacjentów z zewnątrz.

— Kłopoty ze stomatologami — kontynuuje dyr. Wiesława Jaworska — doświadczają nie tylko przychodnię studentek, tych specjalistów brakuje w całym mieście, starsza kadra wykusza się na skutek chorób zawodowych, młode lekarki zakładają rodziny, idą na urlopy macierzyńskie. W przypadku braku niektórych specjalistów

konsultacji udzielają lekarze pracujący w tutejszym szpitalu. Dyrekcja ZOZ wysoko ocenia kwalifikacje zatrudnionych tu lekarzy, jestem zadowolona krzywdzącą negatywną oceną pacjentów. Lekarze są dobrze wyszkoleni, na bieżąco kontrolujemy ich wiedzę, w oparciu o nasz szpital robimy kolejne stopnie specjalizacji. Pracownicy naukowcy nie mają powodu do narzekania i nie zgłaszają większych zastrzeżeń. Moim zdaniem przyczyna niezadowolenia niektórych studentów tkwi w tym, że zależy im na orzeczeniu pewnych chorób, oczekują oni od lekarza określonej diagnozy gwarantującej uzyskanie zwolnienia lub urlopu zdrowotnego.

— Brakuje krwiodawców zarówno honorowych jak i płatnych, nie ma surowicy potrzebnej do oznaczania grupy krwi, dlatego ograniczamy te badania jedynie do koniecznych przypadków. Najprostszą metodą, aby uzyskać wpis do dowodu osobistego jest honorowe krwiodawstwo. Dotychczas w kierunku nosicielstwa wirusa AIDS badani są tylko studenci obco-krajowcy. Istnieją plany badań pilotażowych wśród innych grup środowiska akademickiego, ale jest to bardzo kosztowne przedsięwzięcie i nie podjęto jeszcze decyzji o jego rozmiarach. Swego czasu była głośna w kraju sprawa odmowy pobierania krwi od obco-krajowców przez nasze pracownice — ZOZ wygrał proces w drugiej instancji. Było niepotrzebne zamieszanie, teraz osoby pobierające krew od potencjalnych nosicieli wirusa HIV dostają dodatek pieniężny i sytuacja uległa radykalnej zmianie.

— Każdy wydział — wyjaśnia dalej dyrektor ZOZ — ma własnego internistę, związane jest to z prowadzoną przez lekarzy profilaktyką. Kiedy przychodzi uzyskać odpowiednie środki finansowe na inny system wynagradzania lekarzy, wtedy pacjenci będą mogli wybierać internistę, u którego chcą się leczyć, a na razie by uniknąć kolejek, można przyjąć do lekarza po południu. Kilka lat temu przeprowadziliśmy wśród pacjentów ankietę i na podstawie jej wyników ustalono, że 11—16 są optymalnymi godzinami przyjęć i odpowiednio zagęszczono grafik. W każdej przychodni zatrudnia się taką ilość lekarzy, jaka jest wystarczająca w normalnej sytuacji, ale jeśli z badaniami czeka się do ostatniej chwili lub wybuchła epidemia, to w tak ekstremalnej sytuacji nie tylko w „Palmie”, ale i w całym kraju służba zdrowia okazuje się niewydolna i korzystać musi z rezerw.

— My również mamy zastrzeżenia do naszych pacjentów. Wielu studentów nie spełnia podstawowych warunków — chcą leczyć się w „Palmie” nie posiadając aktualnej książeczki zdrowia uprawniającej do ko-

rzystania ze świadczeń naszego ZOZ. Od pewnego czasu odnotowujemy wzrost zachorowań na gruźlicę, tylko stu procentowa kontrola gwarantuje wykrycie i zapobieżenie rozprzestrzenianiu się choroby. Niestety zlekane i studenci lekceważą obowiązek corocznych badań radiograficznych, stąd zastrzeżone rygory. Studenci nie posiadający w indeksie stempła nie będą mieli zaliczonego semestru. Już teraz wszyscy narzekają, a będą narzekać jeszcze więcej, ponieważ są plany badania otoczenia świeżo wykrytych gruźlików na podstawie tlenionych list. Gruźlica jest chorobą społeczną, dziś na szczęście uleczalna farmakologicznie i każdy musi poddać się profilaktycznym prześwietleniom. Studenci narzekają na kolejki, gdyż udają się na badania okresowe w ostatniej chwili. Półtora roku temu na osiedlu studentek przez kilka dni stał ambulanś — dziennie tylko 5—10 osób przychodziło na prześwietlenie, choć było blisko miejsca zamieszkania i bez kolejek. Jak to wytłumaczyć?

— Na co najczęściej chorują studenci? System studiów — odpowiada W. Jaworska-Benczak — jest ogólnie stresujący, ale ułożony terminarz egzaminów w sesji owocuje większą ilością pacjentów szukających kilku dni zwolnienia dla uzyskania oddechu i czasu na dalszą naukę. Wielu studentów cierpi na nerwice i chorobę wrzodową. Powszechnie wykrywamy wady wzroku i postawy. 35 proc. ludzi ma skrzywienie kręgosłupa. Ze specyfiki łódzkiego klimatu, dużej ilości zanieczyszczeń w powietrzu wynikają liczne przewlekłe schorzenia układu oddechowego, takie jak astma i zapalenie oskrzeli. Bardzo dużym problemem jest palenie papierosów, coraz więcej kobiet wpada w ten zły nawyk, nie wiadomo jak walczyć z tą plagą, wszystkie dotychczasowe metody okazują się nieskuteczne. Brak systematyczności w uczeniu się powoduje różnorodne schorzenia, na przykład wśród muzyków zdarzają się liczne kontuzje dłoni w okresie wzmożonych ćwiczeń tuż przed sesją egzaminacyjną. Mamy kilku pacjentów cierpiących na chorobę nowotworową, świadkami swojej dolegliwości kontynuują studia przebywając pod stałą opieką specjalistyczną.

Tyle dyrektor „Palmy”. Ale skoro jest prawie dobrze, to czemu jest źle? Nawet jeśli przedstawione przez studentów zarzuty są przesadzone, to jest to środowiskowa opinia społeczna, z którą służba zdrowia nie może się nie liczyć. Jeżeli leczenie akademickie jest dobre, to dlaczego pacjenci narzekają, a jeżeli niedobre, to powinno się coś zmienić. Już starożytni mawiali: medice, cura te ipsum, czyli lekarzu, ulecz się sam zanim zaczniesz leczyć innych!



Foto: Grzegorz Galasiński

Uszczęśliwianie na siłę

Rok 1987 dla Wacławy F. kończy się paskudnie. Otrzymała zawiadomienie, aby była przygotowana na wyłączenie swoich gruntów z użytkowania rolniczego. Między wierszami pani Wacławy wyczytała, że następnie będzie powiadomienie o wyłączeniu. Kiedy w 1988 sprawdziła plan zabudowy miejscowości, jej ziemia nie była w nim ujęta.

Podobne zawiadomienia otrzymała na przełomie lat 1987 i 1988 jeszcze wielu rolników z tej miejscowości. Wśród nich są tacy, których grunty w całości chce się przeznaczyć na cele nierolnicze. Jeden z nich dowiedział się z pisma, iż „z celów rolniczych” będzie musiał oddać więcej niż posiada. U innego na cele nierolnicze chce się przeznaczyć teren, na którym stoi stodoła i kilka pomieszczeń na maszyny rolnicze. Na ziemi wyłączonej z produkcji rolnej mają powstać działki budowlane. Mają powstać wbrew miejscowym, którzy wcale ich nie chcą. Żeby dopełnić obrazu dodam; że najwięcej ziemi muszą oddać ci, którzy mają jej najmniej.

Miejsce akcji: wieś Grabów w województwie konińskim, siedziba władz gminnych, kościół, komisariat, szkoła, stacja CPN, Gminny Ośrodek Kultury, dom towarowy, kilka sklepów, ośrodek zdrowia, restauracja „Typowa”.

Ziemia: około 160 hektarów od I do IV klasy z czego 1/3 chce się przeznaczyć na cele nierolnicze. Zgodę wyraził niedługojszy minister rolnictwa Stanisław Zięba i wojewoda koniński pan Maczka.

Osoby: grabowianie. Czas akcji: od 1986 roku do dzisiaj.

Posypały się podania do POP w Grabowie, organizacji, która według miejscowych zaakceptowała także decyzję, iż która mogła wpłynąć na ich zmianę. Były też groźby napisania do Rzecznika Praw Obywatelskich.

Sprawa zaczęła się „walczyć” od 1986 roku. W marcu tegoż „Przegląd Koniński” opublikował opracowany przez Wojewódzkie Biuro Planowa-

nia Przestrzennego w Koninie plan przestrzennego zagospodarowania Grabowa. W lutym następnego roku plan został zaakceptowany przez Gminną Radę Narodową w Grabowie i Gminny Związek Kolek Rolniczych.

Podstawowa Organizacja PZPR w Grabowie chcąc oczyścić się z oczach ludności z zarzutu zaakceptowania planu zwołała otwarte zebranie, podczas którego dyskutowano o zagospodarowaniu wsi. Jej wynikiem było pismo protestacyjne do GRN w Grabowie. Stwierdzono w nim, że projekt planu przestrzennego nie był dostatecznie znany wszystkim zainteresowanym, gdyż wisiał w gabinecie zastępcy naczelnika gminy i dostęp do niego był utrudniony. Projekt nie był przedstawiony do zaopiniowania miejscowemu PRON, Radzie Sołeckiej i organizacjom społecznym. W piśmie podpisanym przez niemal 30 osób były propozycje rozwiązania spornych kwestii. Domagano się, aby zgodnie z obowiązującymi przepisami najpierw zagospodarować grunty Państwowego Funduszu Ziemi i przeznaczyć je na wybudowanie w pierwszej kolejności bloków rotacyjnych i mieszkań dla osób w podeszłym wieku. Również przyszłe indywidualne działki budowlane, zgodnie z zapotrzebowaniem ludności Grabowa, należałoby według miejscowych zlokalizować na gruntach PFZ.

Plan przestrzennego zagospodarowania przewiduje na terenach wyłączonych z produkcji rolniczej około 100 działek budowlanych, zaś naczelnik gminy jest w posiadaniu 30-40 poddań o przydzielenie takiej działki.

Później było jeszcze wiele otwartych zebrań POP z ludnością Grabowa w sprawie przestrzennego zagospodarowania gminy i miejscowości. Była także zbiorowa skarga do X Kongresu Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego wysłana w połowie kwietnia 1988. Odpowiedź nadeszła 9 maja tegoż roku od wojewody konińskiego, któremu Kongres ZSL po-

lecił zająć się sprawą. Wojewoda nakazał:

„Naczelnikowi Gminy zorganizować i przedstawić wspólnie z Dyrektorem Wojewódzkiego Biura Planowania Przestrzennego na zebraniu samorządu wsi Grabów plan ogólnego zagospodarowania przestrzennego w celu zaopiniowania.”

— Dyrektorowi Wydziału Geodezji i Gospodarki Gruntami Urzędu Wojewódzkiego w Koninie przeprowadzenie kontroli w zakresie gospodarowania i obrotem gruntów PFZ”. Drugie polecenie wojewody nie zostało wykonane. Opracowano natomiast nowy plan, w którym uwzględniono grunty PFZ, lecz ten też nie został zaopiniowany pozytywnie przez mieszkańców Grabowa, gdyż nie wnosł żadnych konkretnych zmian w kwestii wyłączenia prywatnych gruntów z użytkowania rolniczego.

7 listopada na posiedzeniu Zespołu Doradczego przy naczelniku gminy rozważono protesty mieszkańców i upozorowano działania mające usatysfakcjonować grabowian.

Zamiast całkowitego poniesienia wyłączenia gruntów z produkcji rolniczej ustalono, że działki budowlane będą sięgały najwyżej na 50 metrów od drogi. Przychylono się także do próśb, aby grunty PFZ zostały przeznaczone dla budownictwa mieszkaniowego i, jeśli będzie taka potrzeba, usługowego.

W tak zwanym międzyczasie, od początku całej „afery” do dnia dzisiejszego na gruntach PFZ swoje domy, całkiem okazałe jak na urzędnicze pensje wybudowali: były naczelnik, sekretarz komitetu gminnego, dzisiejszy naczelnik, który do niedawna był wice, kierownik skupu buraków, magazynier...

Część ziemi otrzymała pracownica Służby Rolnej w Urzędzie Gminy, posiadająca w sąsiedniej wsi spore gospodarstwo rolne.

Na jednym z zebrań podjęto decyzję o przyznawaniu i zabudowywaniu działek na gruntach PFZ. Wtedy również naczelnik oświadczył, iż ziemia z

PFZ zostanie odebrana pracownicy „gminy”, gdyż nabyła ją bez wiedzy „urzędu” i Rady Sołeckiej. Lecz na razie nie na działkach się nie dzieje!

Mieszkańcy Grabowa twierdzą, że jeśli zabraknie wolnej ziemi dla budownictwa użyteczności publicznej, to UG sprzeda za własnej i nieprzymuszonej woli potrzebną ilość gruntu. I to po cenach korzystnych dla obywateli! Auto-rowni pokazywano miejsca, gdzie kiedyś planowano wybudować pocztę. Plac cały czas jest nie zagospodarowany, długie hipoteczne na nim ciążące są tak duże, iż „urząd” mógłby go przejąć darmo, ale jak wieść gminna niesie obiecano go cukiernikowi ze Zgierz. Teraz pocztę chce się zlokalizować już poza centrum miejscowości, niemal na jej końcu, na terenie, który zajmuje młody wiśniowy sad. Również pawilony usługowe mają zostać wybudowane na terenie sadu, choć są grunty, których właściciel wyraża gotowość odstąpienia ich Urzędowi Gminnemu.

Po wielu protestach i monitach zdesperowani mieszkańcy

Grabowa napisali do Najwyższej Izby Kontroli. Reakcją była niemal natychmiastowa. Tyle tylko, że kontrolerzy z Poznania zaczęli sprawdzać uczciwość tych, którzy podpisali protesty i skargę do NIK.

Kiedy w Urzędzie Gminnym w Grabowie chciałem zasięgnąć informacji na temat sporu, naczelnik najpierw mnie wylegitymował. Cóż, ma takie prawo. Następnie, zmylony moją fizys, powiedział, iż sprawa którą się zajmuję nie jest dla pisma młodzieżowego. Kiedy wytłumaczyłem, że „Ogłosy” nie są i nigdy piśmie młodzieżowym nie były pan naczelnik odmówił mi udzielenia informacji. No, chyba że on będzie autoryzował tekst.

W trakcie rozmowy z naczelnikiem dowiedziałem się, że on i Urząd Gminy chcą dobrze, tylko ludność nie potrafi tego zrozumieć. Ludzie domagają się zezwoleń na budowy na gruntach PFZ, ale ten teren nie jest uzbrojony, a gmina nie ma na to funduszy. Muszę przyznać, że kiedy przypomniałem sobie domy już wybudowane na PFZ powyższe zdanie brzmiało jak fałszywa nuta

właśnie wtedy, kiedy uświadomiłem sobie, że pan naczelnik i jego sąsiedzi mają w domu i prąd, i wodę. Ba, nawet asfalt dochodzi aż do drzwi jednego z domów!

Następnie dowiedziałem się, że ludzie w Grabowie nie chcą mieć szkoły rolniczej, nie chcą mieć pocztę w centrum wsi, że usługi dla ludności też są, według nich, niepotrzebne. Pan naczelnik stwierdził, iż gdyby nie prywatny interes właściciela sadu, to nikt w Grabowie nie odezwałby się w obronę rolników, którzy otrzymali zawiadomienia o wyłączeniu gruntów z produkcji rolniczej. Dodaj także, iż zrobi wszystko, aby tam gdzie dzisiaj jest sad została wybudowana poczta i punkty usługowe. I podobno nikt mu w tym nie przeszkodzi.

BOGUMIŁ
A. MAKOWSKI

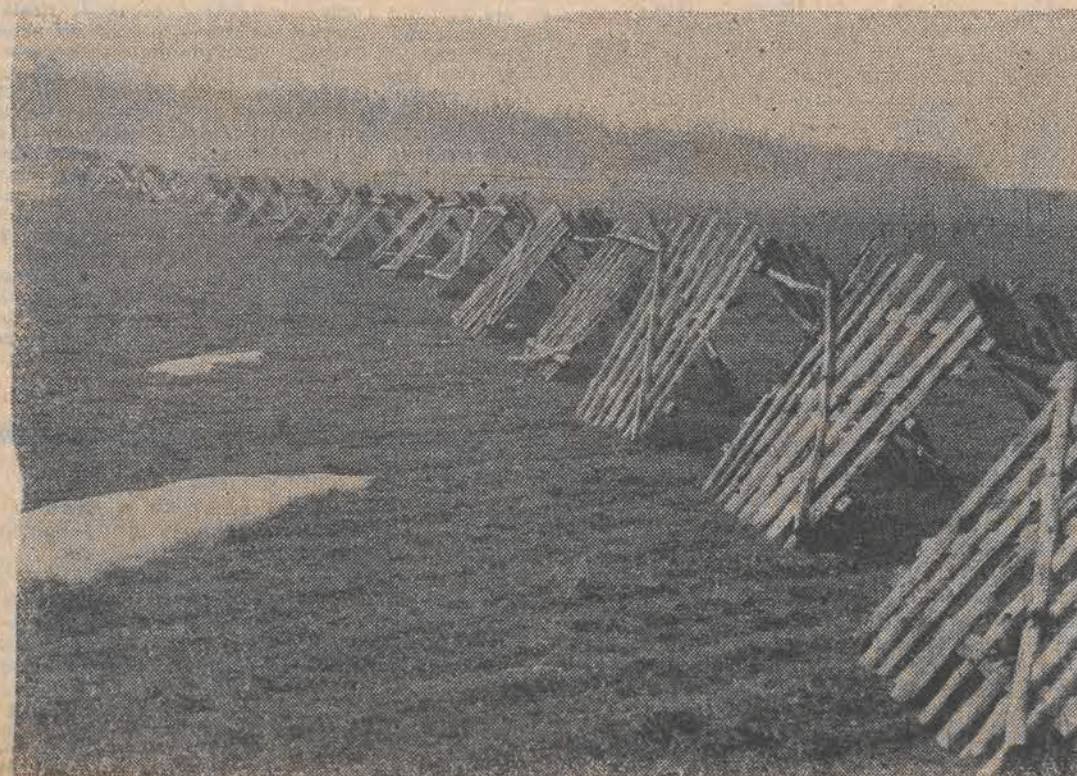


Foto: Grzegorz Gatasiński

BESKIDZKIE ZAPROSZENIE

Niezwykła gmina Jasienica

— A te milicyjne „nyski” przed pawilonem meblowym, po co?
— Eee, zawsze tu są w dni sprzedaży mebli, to nasz sklep firmowy...
— Ludziska o „głupie” krzesła” będą się bili?
— Sam pan zobaczysz, za pół godziny otwierają...

Dyrektor naczelny Henryk Adamiec i jego zastępcy nie przepadają za kontaktami z „pismakami”. Wymigali się też szybko przed rozmową, zastępując się wizytą bodaj japońskich kontrahentów. Taktycznie zrzucili mnie na barki głównego ekonomisty firmy — Bronisława Dulawy. I był to wybór ze wszech miar szczęśliwy. Pan Bronisław, człowiek — encyklopedista, 34 lata pracy w zakładzie — od rachunku strza handlowego do szefa produkcji, zgodził się na eksperymentalne przeszkolenie meblowego laika. Polecieliśmy programem dla uczniów w miarę rozgarniętych:

— Wiem, że korzystacie przede wszystkim z drewna bukowego.

— Wyłącznie z bukowego. Tylko ono nadaje się do tak zwanych trwałych gięć.

— Na czym polegała metoda Austriaka Thonet’a? Cóż to za wynalazek, który przetrwał ponad 100 lat?

— Thonet wybudował wiele nowoczesnych fabryk mebli, w Jasienicy, w Radomsku, kilka zakładów w Czechach. Jego patent, najogólniej rzecz ujmując, polegał na użyciu w trakcie gięcia drewna specjalnej taśmy, która dociskając surnowiec do formy zapobiega jego odkształceniu. Proste, prawda? Proszę spojrzeć na ten bujak: precyzyjnie i na trwałym pożywiny wde wszystkie strony jest symbolem naszej firmy. Nikt już dziś takich w Europie nie robi.

— Piękny... Gdzie i za jak wielkie pieniądze można go kupić?

— Niech pan się na razie tu pobuja... Mogłoby powiedzieć, że na sto procent to w którymś ze sklepów Berlina Zachodniego. Ale bez żartów. Dajemy też co nieco na rynek krajowy, choć wiem, że to kropka w morzu. Większość wędruje na eksport.

— Pewnie nie tylko bujaków?

— To prawda. W sztukach licząc rocznie opuszcza hale produkcyjne czterech naszych zakładów ponad 650 tysięcy krzesel, foteli i właśnie bujaków. Blisko 60 procent trafia do

krajów całej Europy Zachodniej, a także USA, Kanady, Japonii, także Singapuru, Australii.

— Sprzedawanych za parę groszy, czyli je-nów, marek...

— Dlaczego zaraz „parę groszy”? W hurcie otrzymujemy od 15 dolarów za najprostsze krzesło stołarskie do około 50 dolarów za bujak. To nie są złe ceny. Zaraz panu udowodnię konieczność prowadzenia i rozwijania eksportu, przecież...

— Wiem, wiem, znam te opowieści, trudno się zresztą z wieloma eksportowymi racjami nie zgodzić. Choćby efekt w postaci swobodnego „przymusu nowoczesności”.

— Fakt, by utrzymać się na wymagającym eksportowym rynku musimy co roku wymieniać minimum 10 modeli na nowe. Jeszcze inaczej — by te 10 wykonać, musimy zaproponować na europejskich targach czy wystawach 30-40 nowych modeli.

— Ile w sumie produkujecie odmian krzesel i foteli?

— Jesli by policzyć wszystkie kolory i rodzaje wykończeń to tych wariantów uzbierałoby się około ośmiuset...

— Proszę zdradzić eksportową „bombs” sezonu...

— Sądząc po kontraktach na takie miano może zasłużyć między innymi delikatna gietka sofa, pokazywana ostatnio na Targach Poznańskich.

— Wiem, że obok wysoce wykończonych obrabiarek w tej firmie przede wszystkim liczą się ręczne palce. Gięcie, szlifowanie, wiele etapów montażu — można wykonać wyłącznie ręcznie. Czyż nie tak?

— Ma pan rację i 25 procent w kosztach naszych wyrobów zajmuje czysta robocizna. Ale też nie ma dwóch krzesel jednego rodzaju tak naprawdę identycznych, a ja śmiało mogę powiedzieć, że nasz wyrób rozpoznam na każdym filmie czy w zagranicznym folderze.

— Nie brakuje wam tych ręcznych rak?
— Brakuje, niestety. Zatrudniamy w czterech zakładach Fabryki Mebli Giętych w Jasienicy 1170 pracowników i jeszcze dodatkowo, około 500 chałupników, którzy przede wszystkim zajmują się wyplataniem miękkich części krzesel z trzciny.

— Import?

— Oczywiście, z Indonezji. Ale poprzez RFN, bo tam umieją solidnie sprzątać zewnętrz-

ne pasma trzciny, by były wystarczająco elastyczne i zarazem mocne. Ale ludzi, żeby tamtą myśl skończyć, minimum 250 przyjeżdżamy w każdej chwili.

— Wykruszają się starzy fachowcy?

— Tak, a młodzi nie zawsze mają ich cierpliwość, dokładność, umiłowanie zawodu. Niedawno odeszli na emeryturę pracownicy, którzy zaczęli jeszcze u starego Thonet’a. Nawiasem mówiąc spakobiercy jego starzy prowadzą w Wiedniu małą firmę o tej nazwie, ale więcej tam się handluje meblami niż produkują.

— Dacie radę ciągnąć dalej? Jakoś mało narzekacie?

— Eh, my nie som tu w gminie tacy marudni. I te drobne 6 miliardów złotych produkcji zrobimy! Ale co będę w kółko o krzesłach gadał. Z naczelnikiem gminy niech pan porozmawia, ten ma dopiero pomysły!

Romana Grenia nie zastałem w Urzędzie Gminy.

— Za biurkiem go pan nie znajdziesz, on ciągle w terenie, kolejne „biznesy” załatwia — usłyszałem od czekających w korytarzu pententów. Z przyszaną, a może bardziej z dumą powiedziane. Na krótką rozmowę dał się naciągnąć jego zastępca — Wiesław Cekiera.

— Nie tylko ciekawa, ale i bodaj największa w kraju ta gmina, której z naczelnikiem Greniem przewodzić. Może pan Jasienicę przedstawić w encyklopedycznym skrócie?

— No, co by tu? 24 tysiące mieszkańców, 15 sołectw, 11300 hektarów ziemi, w tym około 6 tysięcy użytków rolnych. Jako sama gmina tośmy faktycznie w kraju najwięksi, dośó powiedzieć, że takie sołectwo Jaworze liczy sobie ponad 5,5 tysiąca mieszkańców, tyle co niejedna gmina. Ale chwalić to się nie ma chyba czym...

— Taaak? A co mi tu w korytarzu o szkole z basenem mówili, godnej miana XXI wieku? To w sprawie jej szybkiej budowy grzmi z ambony proboszcz?

— Faktycznie, mocno się ksiądz Wala w tę inwestycję zaangażował, ale też i ma być piękna. Nie przerażał nas nawet kosztorys opiewający na 1 miliard złotych Pomogą zakłady pracy, FSM w Bielsku, kopalnia „Borynia”, wojsko, opodatkowali się ludzie w sołectwie Mazanówce, gdzie ma stanąć ta ośmiennastodziałowa szkoła z nowoczesną salą gimnastyczną i krytym basenem.

— Wszyscy płaczą na kłopoty materiałowe...
— My nie. Może dlatego między innymi, że rzutkiem zaopatrzeniowcem i przewodniczącym komitetu budowy szkoły jest Tadeusz Kuś, „prywatnie” pracownik Łódzkiej Politechniki, filia w Bielsku. Taką dachówkę ściągaliśmy nawet z... Leby, a teraz trochę bliżej, bo z Jeleniej Góry. Chcemy, by na następny urzeseń dzieciaki już się tam uczyły. Dziś mamy stan surowy.

— Z tym gazem w każdej chałupie gminy Jasienica to chyba bluff...

— Ale tam, sama prawda! Zostało nam jeszcze osiem sołectw. Jedna nitka od Skoczowa, druga z Bielska, a za dwa lata faktycznie każdy będzie miał gaz w domu.

— Gren i pan wyrastacie na tytanów pracy, bo dowiedziałem się jeszcze o likwidacji telefonicznej „pustyni”, a także jakichś spółkach Urzędu Gminy z rzemieślnikami...

— Wszystko szczerą prawdą i bez grama li-zusostwa muszę powiedzieć, że to zasługa naczelnika. Faktycznie, przystępujemy do budowy dużego kompleksu budynków, w którym oprócz oddziału banku spółdzielczego mieścić się będzie urząd pocztę i telekomunikacji, wraz z nowoczesną centralą na 2 tysiące numerów. Jeśli policzyć istniejące centrale w Mazanówce i Jaworzu — problem braku telefonów na wsi przestanie u nas istnieć. Jeszcze w tym roku uruchomimy także odkryty basen przy szkole w Rudzicy, zaczynamy budowę kolejnych trzech przedszkoli...

— Zaraz, zaraz, miało być o spółce i konkurencji dla zakładów mięsnych?...

— Za dużo by pan chciał wiedzieć za jednym zamachem. Powiem tylko, że planujemy ostro ruszyć ze spółką, w której obok dwóch rzemieślników znajdzie się i Urząd Gminy. Każdy z udziałowców wyklada po 15 milionów i stawiamy cały kombinat: ubojnię, przetwórnictwo, chłodnię, oczywiście z prawdziwego zdarzenia. Chcemy ruszyć w przyszłym roku, część materiałów na budowę już zwieźliśmy. W województwie bielskim nigdy nie było problemów z „surowcem”, wąskim gardłem są istniejące ubojnie. Zobaczymy, skalkulujemy wszystko, cenę da się konkurencyjną i myślę, że znajdą się pieniądze choćby na nowe inwestycje czy naprawę 360 kilometrów dróg gminy.

— Wiem, że Jaworze stara się o status uzdrowiska, tereny tu u was piękne, jeszcze nie skążone, słyszałem też o jakichś podziemnych złożach czy odwiertach...

— To też prawda, w Jaworzu i najbliższej okolicy występują bogate złoża wody solankowej, zupełnie nie wykorzystywane. Myślimy wybudować teżnię, ale potrzebny byłby sponsor z wyobraźnią. Chwilczkę, zaraz!! Przyszedł mi pewien pomysł do głowy: a może któryś z łódzkich zakładów chciałby tu zainwestować? Niech pan napisze — to temat do rozmowy. Poważnie! Okolice chyba chwalić nie muszę? Znajdzie się teren pod budowę zakładowego ośrodka, pomożemy z materiałami, szkoda tych zacopowanych odwiertów. Czekamy na ofertę...

DARIUSZ DOROŻYŃSKI



KRZYSZTOF
BUCZYŃSKO



Posyłam ci tańczący wiersz
ja - derwisz, ja - wydrwigrosz
zaplatam z kroków tańca ścieg
smak przerwy, rytmu głębokość

Porywam ci skupieniem słów
na wielki bał przez dystans
zmużeniem oczu wdzieram się
pomiędzy rzeczywistość

Daleko jesteś, lecz - mój śnie -
gdy zadrysz bez pieśnizoty
gdy w nocy mrok zawoła głos
dotrzymaj mu tęsknoty

Wkrótce ponownie przestrzeń zgaśnie
coś powiesz od niechcenia zanim
jak ómy zwabione ognia blaskiem
zagramy do tańczenia sami.

Półka z książkami

FREDRO Z PROFILU I EN FACE

Ostatnio życiorys Aleksandra Fredry stał się źródłem natchnienia dla historyków i poszukiwaczy obszceniów. Do tych pierwszych dołączył Zbigniew Kuchowicz pisząc rozprawę pt. „Aleksander Fredro we fraku i w szlafroku”. Jest to obszerna, udokumentowana praca traktująca o rodzimym Fredrowie, ale przede wszystkim o ich najświeższym przedstawicielu, który rozstrząsał, swe imię i przysporzył odczytanej literaturze cennych - i zawsze aktualnych - sztuk scenicznych.

Zbigniew Kuchowicz: Aleksander Fredro we fraku i w szlafroku. KAW w Łodzi 1989. Str. 240. Cena 1.000 zł.

PIEŚŃ O WALIGÓRZE

Twórczość Jana Kasprzowicza jakby nieco odeszła w zapomnienie, choć co jakiś czas różne wydawnictwa przypominają nam jego życie i dzieło. Ostatnio ukazała się „Pieśń o Waligórze” - jeden z czterech utworów o charakterze baladowo legendowym. Wydanie jest wręcz bibliofilskie, bardzo staranne, z barwnymi reprodukcjami podłaskiego malarstwa na szkło, druk na papierze chamonis, oprawa płócenna. Istny rarytas wydawniczy. Nasuwa się wszakże pytanie: jak przyjmie dzisiejszy czytelnik tekst powstały przeszło 80 lat temu?

Jan Kasprzowicz: Pieśń o Waligórze. WL 1988. Str. 44. Cena 900 zł.

Z wyróżnionych przez Edwarda Balcerzana kilku strategii lirycznych interesować nas tu będzie przede wszystkim sukcesja dwu postaw - dwu strategii: obserwatora oraz uczestnika. Powojenna poezja polska dążyła się bowiem określić i poprzez mechanizm odwołania do zdystansowanej obserwacji do „gorącego”, zaangażowanego uczestnictwa w świecie. Poeci łączą się w tym manifestowaniu „uczestniczenia” dla różnych zresztą celów: raz to będzie obrona wspólnych interesów pokoleniowych, niekiedy ekspresja socjolektu (poetyk zbiorowy), ale nie omijają też cni rejonów polityki w próbach interweniowania w rzeczywistość (poezja lat 70.).



Skazani na zagładę

Zdarza się wszakże - jak w przypadku Dariusza Tomasza Lebiody - że poeta stwarza sobie Imago: uczestnika grupy społecznej, jakiegoś subkulturowej formacji mieszczącej się na marginesach głównego nurtu społecznego. Na ogół zakres eksplorowanego „materiału życiowego” oraz transformowaniu go mechanizmy poetyckie dążyły się wpisać pod etykietkę „etosu lumpa”, chociaż Dariusz Lebioda mimo swe poetyckie uczestnictwo w tych grupach nie do końca się przecież z nimi utożsamia.

W „Samobójcach spod Wielkiego Wozu” (1980 r.) oraz „Najnowszym testamentie” (1983 r.) występował jako jeden z „chłopców z placu zabaw”, obnażając wszystkie „zastrzeżenia” wartości, które z pokolenia bez wyraźnej i heroicznej biografii czyniły „mających”, pułkowników, generałów” bowiem stopnie takie tatuowali sobie na przedramieniu „ludzie” - giloty. Niejasna wprowadzić, ale sygnowana w tej

dzie, tomem Lebiody jest wydany w MAW zbiór „Na chwilę przed końcem świata” (1988). Nie jest to tom jednorodny - składają się nań cztery cykle poetyckie splecione w jedną klanrę semantyczną - literacką wizję naszej apokalipsy spełniającej się niepostrzeżenie z dnia na dzień. Uczestnictwo poety - strategia, od której rozpoznać należy nasze rozważania - jest uczestnictwem everymana w tym rozrywającym się świecie. Nie przeszerzenie wszakże, ale pozorne „chłodna”, zdystansowana notacja, kronikarski zapis stanowiłby cenne najuchwytliwszą w wypowiedzi poetyckiej autora. Najbliższy - znanej już z tomów poprzednich - poetyce D. Lebiody jest cykl pierwszy „Rajskie piaki” - notacje z kręgu epunów i punków. Tu już nie „wewnętrzne” spojrzenie rządzi, zarówno obserwacja, jak i wartościowanie, ale dystans opisywania, beznamietnego (pozornie) kronikarskiego zapisu i zachowań ludzi

szczyony jest podmiot twórczy - rejestrujący fakty, ponieważ na współodczuwanie nie ma już jakby czasu. Demony bowiem już zostały wywołane na złąbę świata, ale przecież nie dzieje się nic niezwykłego. Cpony szukają „waru”, umierają gęstsze i niewinne dzieci, punki prowadzą podwójkowe boje. Mógiby Lebioda spłotać swój tomik - swoją wizję dzisiejszości Eliotowym: „Bo tak się właśnie kończy świat, bo tak się właśnie kończy świat, nie wyciem, ale skomieniem”.

HENRYK
PUSTKOWSKI

D. T. Lebioda - Na chwilę przed
końcem świata, MAW 1988, cena
300 zł.

Od 5 do 8 kwietnia przebywa w Łodzi zespół Théâtre de L'Alauda, który na gościnnych deskach ŁDK przedstawi dwa spektakle. „Amore e Fame” to utwór d'Angelo Bedco (znanego jako Ruzzante), znakomitego dramaturgii, który wniósł znaczący wkład z rozwoju teatru renesansowego, dziś na nowo odkrywano i doceniano. Tworzył 160 lat przed Moliere. 60 lat przed Shakespearem i przed Rapela. 20 lat. Osadzona w realiach XVI-wiecznej Europy zabawna historia dwóch par miłosnych zawiera odcienie i uniwersalne

RADZIMY OBEJRZEC

Francuski teatr w Łodzi

problemy - miłości i zdrady; opowiedziana jest przy tym z dużą lekkością i znakomitą dowcipem.

Twórcy widowiska, świadomi zmian jakie zaszły od czasu powstania utworu, próbują z humorem i ironią ukazać typowych mieszkańców francuskiej wsi przeniesionych nagle z plebejskiego środowiska do obcych realiów kultury miejskiej.

Lekkość zamysłu inscenizacyjnego, sprawność aktorów - wszystko to stanowi o wysokich walorach przedstawienia. A ponieważ zespół ten większą część sezonu spędza na podróżach po całej Francji i innych krajach Europy z tym większą sprawnością znajduje się w dru-

gim utworze utrzymanym w konwencji renesansowego teatru wodroznego. Drugie widowisko - „Picrochole et les Coquecignies”, oparte na wyjątkach z „Gargantui i Pantagruela” Franciszka Rabelais, to pozornie tylko banalny konflikt między Gargantuą a Picrocholem, którego piekarze nie chcieli sprzedać wypieków chłopcom Gargantui. Jest to tylko pretekstem do ukazania istotnego kontekstu historycznego i politycznego - owych, jakże często bezsensownych wojennych uwikłań Francji tamtych lat, zarówno wewnętrznych jak i zewnętrznych.

Tak warstwie obyczajowej jak i historycznej zawartą w utworze Franciszka Rabelais francuscy goście ukazują ze znakomitą wycuciem natury ludzkiej i teatralnej konwencji.

Francuski Théâtre de L'Alauda został zaproszony przez Teatr „Pstrąg - Grupa 80” Uniwersytetu Łódzkiego dla uświetnienia uroczystości jubileuszowych tej zasłużonej studenckiej sceny.

M. B.

ANDRZEJ GRUN

PESTKI DYNI

Książka Irvinga Stone'a „Udręka i ekstaza” cieszyła się kiedyś dość dużym wzięciem i chyba nadal się cieszy, o ile komuś uda się ją dostać - czasami widuję ją na bazarach; za „ile idzie” - nie wiem. Czytałem ją dawno i jak sobie przypominam, to w ekstazie nie popadłem. Radziej doznałem pewnej udręki, że znowu, po Van Gogh („Pająk życia”) i Londonie („Zeglarz na koniu”), zabrali się autor za następnego, Boga ducha winnego artystę i udręca go swoimi przypuszczeniami, domniemaniami, psychologicznymi insynuacjami...

Z tej książki zrobiono film (reż. Carol Reed) - zresztą z poprzednich też - który szedł niedawno w TV, pod tym samym tytułem. Mnie w tym filmie najbardziej podobały się sceny, kiedy Michałowi Aniołowi B. kapla farba na głowę podczas malowania sufitu. Często tak bywa, że jak ktoś się na siłę pcha w ekstazę i udrękę - to mu potem na pysk kapie. Podobały mi się w filmie głosy oburzenia „purpuratów” na gołozę, co biegła po suficie. Słusznie! Pan Bóg stworzył ludzi nagimi, ale to było dawno i nieprawda...

Na marginesie: niedawno Watykan wydał zarządzenie, że w kościołach ma rozbrzmiewać tylko muzyka religijna. Do tej pory myślałem, że każda rzecz piękną, przez człowieka stworzona, godnie Boga chwali; myliłem się. A przecież w Dubrowniku, w kościołach właśnie odbywały się festiwalowe koncerty dobrej muzyki. Było takich miejsc wiele.

Wracając do Michała Anioła. B. to wrócił on do Kaplicy Sykstyńskiej jeszcze raz, już jako starzec, żeby namalować Sąd Ostateczny nad ołtarzem. Skończył go w 1541 roku.

„Na sklepieniu ukazane zostały wydarzenia prowadzące do narodzin Jezusa Zbawiciela - teraz przychodzi On jako sędzia, piękny i straszliwy, niosący zagładę Apollu; Madonna siania się bezsilnie, a święci podburzają Chrystusa, by stracił do piekiel ofiary swego gniewu. Umarli budzą się w obliczu tej koszmarnie wizji, w pustkowi nie tak kosmicznych jak u Signorellego, ale bodaj straszliwszym pandemonium”. Trzeba tu dodać, że Kościół po awanturach z Lutrem znowu stanął na nogi; funkcjonowały już nader sprawne dwie znakomite instytucje: zakon jezuitów i Inkwizycja...

W młodości M.A.B. związany był bardzo silnie z Republiką Florencką i nigdy - mimo, że pracował dla Medyceuszów - nie zapomniał swych sympatii.

Michał Anioł nie tracił nadziei na przywrócenie demokracji ludowej we Florencji - tak samo jak nie tracił jej wielu Florentyńczyków i wygnanców. Za pośrednictwem przyjaciół paryskich w roku 1544 kilkakrotnie proponował królowi Francji, że jeśli uwolni miasto od Medyceuszów, wznieśli mu pomnik obok ratusza, na własny koszt. Zarliwy demokrat, byłby wydał cały swój majątek na niezwykle kosztowny odlew tego posągu. Franciszek istotnie w roku 1546 zdecydował się wypowiedzieć wojnę księciu Florencji, ale umarł, zanim do niej doszło. Po śmierci Michała Anioła wielki książę chce koniecznie pochować go we Florencji. Każę wykraść jego zwłoki i przywieźć z Rzymu - czyni wszakże wszystko, aby pogrzeb w Santa Croce odbył się bez rozgłosu. Zapewne dlatego, że wiadomo, jakim symbolem politycznym jest osoba Michała Anioła. Mimo tych zabiegów w pogrzebie uczestniczą nieprzejrzane rzesze ludzi - i to chyba nie tylko ze względu na jego sztukę. (fragmenty z eseju Rolanda Güntera).

Nadworny historyk Medyceuszów, Giorgio Vasari - a za nim inni historycy sztuki - pozbawili skomplikowaną postać Michała Anioła B. wszelkiego znaczenia politycznego. Poprzestawali na jego walorach ogólnoludzkich, abstrahując od tego, że M.A.B. czerpał jej wyrazu artystycznego także z określonych przekonań politycznych. „A był zwolennikiem populistycznej demokracji, która czyni każdego, także biedaka, ośrodkiem prawdy tego świata, a tym samym wydobyla największą miarę ludzkości...”.

ANDRZEJ GRUN

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata



LAUREAT O SOBIE

„Pierwszy w życiu spektakl telewizyjny nakręciłem w Oslo, następny w naszej TV. Wtedy zrozumiałem, co oznacza określenie „polska prowincja kulturalna...” Tak określa się ogólną kondycję naszej kultury i nie ja to wynisiłem. Oznacza to także totalne niedoinwestowanie, prowizorkę, fatalne warunki pracy, żenująca jakość wszelkiego rodzaju „przetu technicznego itd. - mówi Jan Peszek, tegoroczny zdobywca łódzkiej nagrody specjalnej „Srebrnego Pierścienia” dla tygodnika „Film”. - Aż dziw, że w tych manufakturach ze sznurka i papieru powstają, bo powstają czasami, wybitne dzieła. Rodzą się, ale jakim kosztem? Jak długo można żyć w ustawicznym stresie bez wytchnienia, kombinując, sztukuując, pozorując? Bywa, oczywiście, że dzieło po prostu marnym aktyzmem przebrany za Hamleta...”

ryść, ale stała praca w napięciu daje złe efekty. Wyjeżdżam za granicę niemal co roku, spotykam się z ludźmi z branży, coś tam czasami robię. Nabieram oddechu i to pozwala mi później w kraju na wewnętrzny luz. Bo jednak przede wszystkim interesuje mnie Polska, jej kultura i tutaj chcę pracować. Pracować uczciwie... W aktorstwie uczciwość to czystość wykonywania zawodu. Oto na scenie czy przed kamerą pojawia się aktor. Naturalnie umie śpiewać, tańczyć i recytować, bo bez tego nie byłby aktorem. I nie ów fakt jest ważny, ale sposób w jaki swoją o-robowością, wrażliwością i percepcją świata wkracza w określone przez autora i reżysera sytuacje, w tej sens i nastrój. Aktor jako instrument przekazuje zamysły twórcy, a jeśli grając udaje ponad miarę, przedstawia je fałszywie. Czyli nie wykonuje swojego zadania uczciwie... ważne jest, aby Hamlet był Peszkiem, a nie Peszek Hamletem... I jeśli Peszek wyjdzie na scenę, by pokazać publiczności, jakim jest wspaniałym aktorem to będzie po prostu marnym aktyzmem przebrany za Hamleta...”

„NIE MAJĄ CZASU NA ŻYCIE DUCHOWE”

„W naszych czasach niewiele pozostało dla misji duchowej pisarza - powiedział nasz wybitny pisarz, Tadeusz Różewicz. - Oczywiście, o rocznicę przeznacza się dla niego jedną Nagrodę Nobla, jednak w gruncie rzeczy jesteśmy niepotrzebni. Z kolei pisarze, na których istnieje w naszych czasach chaos i zamieszanie zapotrzebowanie, tzw. karnadzieje i prorocy, są czysto fałszywymi kaznodziejami i prorokami, są skorumpowani i podatni na naciski. Wydają literaturę, książki, sprzedają cierpienia własne i cudze. Pisarze bez wiary, miłości, nadziei. Słowo niekiedy prostytuują się. Pisarzy jest coraz więcej, a literatury coraz mniej. Coraz więcej pisarzy prowadzi bogate życie zewnętrzne, lecz żałosne wewnętrzne. Są to pisarze nie mający czasu na myślenie, ponieważ ustawicznie albo występują w telewizji, albo u dzielały wywiadów radiowych, piszą do gazet bądź odpowiadają na niezliczone pytania dziennikarzy. Pisarze ci przy tym zajmują stanowisko wobec wszelkich możliwych problemów: śmierci, Boga, ekologii, praw człowieka, pokoju, rasizmu i przy okazji wypowiadają

się także od czasu do czasu na temat literatury. Wszystko oferowane jest na sprzedaż. Ekshibicjonizm triumfuje”. („Tygodnik Kulturalny”)

O KATYNIU

Już wkrótce pojawia się na półkach księgarskich publikacje o zbrodni katyńskiej. „Epitafia oficerów polskich pochowanych w Katyniu” to praca przygotowywana przez Krajową Agencję Wydawniczą na podstawie materiałów opracowanych przez Wojskowy Instytut Historyczny. Zawierać będzie dane biograficzne ponad 4 tys. oficerów. „Książka i Wiedza” natomiast wyda pracę Czesława Madajczyka „Dramat katyński”, w której autor odtwarza domniemany przebieg tragedii. Książki o zbrodni katyńskiej zamierzają uwzględnić w planach wydawniczych również „Wiedza Powszechna” i Wydawnictwo „Alfa” znane już z kilku rewelacyjnych pozycji (Konwicki, Hłasko, Bułhakow).

ŁÓDZKIE „SIÓDEMKI”

Powieść Włodzimierza Jerofiejewa znana była u nas z „drugiego obiegu”. Powstała w 1969 roku, w cztery lata później ukazała się w Paryżu. I oto łódzki „Teatr 77” - obchodzący właśnie swoje dwudziestolecie - przygo-



Rys. Sławomir Łuczyński



Niemen

22 marca odbył się w łódzkim Teatrze Wielkim recital Czesława Niemena. O artyście tym nie pisze się teraz tyle, co kiedyś. Gdy rozpoczynał karierę, a były to czasy, w których nie wolno było raczej spierać się publicznie na tematy bardziej zasadnicze, jedni odszczepiali go od czci i wiary nazywając „wyjciem” i „kosmopolitą”, dla innych natomiast pozostawał „fenomenem wokalistyki”, „zaklinaczem” i „geniuszem”.

Jest faktem, że ten kontrowersyjny, lecz na pewno wybitnie utalentowany i wciąż poszukujący muzyki (czasami jedynie w tych poszukiwaniach jakby błądzący), nigdy nie pozwolił wtłoczyć się w szablon. I to zarówno jako wykonawca, jak i autor wykonywanych przez siebie muzyki.

Osobiście zawsze ceniłem jego ekspresyjny — nawiązujący często do soul music i rhythm and bluesa — śpiew, swoistą barwę głosu i współtworzące indywidualny styl melizmatyczne ornamentowanie. Lubie też niejedną Niemeniowską kompozycję. Mniej natomiast przekonywały mnie ujawniające się niekiedy skłonności do trochę naiwnych eksperymentów sonorystycznych i formalnych, pseudojazzowego improwizowania na instrumentach klawiszowych a czasami też pretensjonalnej filozofii budowywanej do muzyki. Tak było m. in. podczas łódzkiego występu przed 2 laty, kiedy to Niemen próbował w jakimś momencie parafrazować na syntezatorze „Etiudę rewolucyjną” Chopina a potem przedstawił własną wersję „Warszawskiej Jesieni”. Za dużo takie mówił.

Tym razem obyło się, na szczęście, bez takich, całkiem zbędnych efektów. Program recitalu zaaranżowany został logicznie, był spójny, zawierał utwory pod każdym względem dopracowane i formalnie klarowne. Obejmował w pierwszej części głównie pozycje wchodzące w skład najnowszego, mającego się niebawem ukazać płyty „Terra deflorata” (z nastrojową, „modlitewną” balladą tytułową), w drugiej zaś dawne, na nowo zaaranżowane przeboje. Niemen wciąż jest w bardzo dobrej formie wokalne. Jak wiadomo nie korzysta teraz z współzawodniczenia jakichkolwiek instrumentalistów, lecz posługuje się — jak to sam określił — „orkiestrą robotów”, czyli syntezatorami i komputerami, przy pomocy których, w sposób zdradzający wyobraźnię kolorystyczną, programuje akompaniamenty piosenek. Sam gra solówki i „kontrapunkty” i robi to sprawnie. Wysłuchanie jego najświeższych produkcji prowokuje do stwierdzenia, że nadszedł o to czas syntezę wypracowanych wcześniej środków. Czas świadomego, bardziej ekonomicznego ich traktowania. Podkreślam to z uznaniem widząc, że niedługo Juliusz Czesław Wydrzycki staje się nam powoli klasykiem.

W jednej z przypominanych, starych piosenek, pięćdziesięcioletni dziś piosenkarz skostatował, że „czas upłynął jak sen”. Autor „Czasu jak rzeka” i „Stoję w oknie” nie stał jednak w ciągu minionych lat z założonymi reklamami. Jako artysta siedzi do przodu i dziś potrafi wzruszać nie tylko poprzez przypomnienie o naszej własnej młodości. I w tym jego siła.

JANUSZ JANYST

Cudze chwalimy...

Jest w tym pewna prawidłowość: zachwycamy się i chwalimy to, co dzieje się gdzieś indziej nie dostrzegając wydarzeń rozgrywających się wokół nas. Tak jest też i z teatrem. Na pytanie: co ciekawego dzieje się na łódzkich scenach teatralnych tzw. przeciętny łódzianin natychmiast odpowiada — nic! Ooo, w Warszawie, Krakowie, to hoho! A przecież wystarczy ponatrzeć na propozycje teatralne ostatnich dni, aby z tego co jest i było do wyboru zadowolony był nawet największy konserwator.

Oto w ub. piątek w sali Muzeum Miasta wystąpił gościnnie jeden z wybitnych aktorów Teatru Starego z Krakowa — Aleksander Fabisiak, który za-

25 lipca minie dwadzieścia lat Jego zamilowanie do piękna najlepiej potwierdza żona — uroczą, młodą Kanadyjkę, Rita Labrosse, która zaopiekowała się nim u schyłku życia i konsekwentnie realizuje wolę pisarza dotyczącą publikacji jego dzieł. (Ostatnio wydała książkę „Jemu poświęconą”).

Na wystawie mocno wyeksponowano ziemskie pochodzenie Gombrowicza i jego stosunek do własnej rodziny. Nie lubił ziemianstwa, uważał, że powinien mieć arystokratyczny rodowód. Uderzające jest to, że człowiek, który wychował się w salonach, który początkowo właściwie nie musiał robić, a jednak robił tak wiele, który miał wszystko podane na tacy, lecz odrzucał to, że z całej przeszłości w małym miasteczku, gdzie się urodził, została kupka śmieci, a przez wybitnego człowieka, który nie mógł się tym w pełni cieszyć.



Blżej Gombrowicza

DANUTA KONIECZNA-MALATYŃSKA

Te i inne, nieznane dotąd szerzej publiczności fakty z życia pisarza prezentuje wystawa poświęcona GOMBROWICZOWI w warszawskim Muzeum Literatury. Autorom wystawy można zarzucić, że zbyt przytłacza ilością nagromadzonych źródeł, miejscami męczący zestawem, np. dokumentów dotyczących sporów rodzinnych. Nie wiemy nawet, czy sam bohater byłby zadowolony z tonu, w jakim przedstawia się jego sylwetkę i dorobek literacki. Był urodzonym kłopotem, a naturze nader przewrotny. Nagrody powagi i uznania wdziera się także między cytaty z dzieł autora „Trans-Atlantyku”. Pomijając jednak ten ujemny aspekt, niewątpliwym sukcesem wystawy jest to, że chociaż po dwudziestu latach od śmierci pisarza udało się przybliżyć jego postać.

Niezwykle cenna jest prezentacja filmu — to niesamowite spotkanie z Gombrowiczem „na żywo”, możliwość poznania ekspresji, gestu, wypowiedzi, myśli brzmienia trochę nienaturalne, bo mówi po francusku.

Kiedy stwierdzono, że odczyty przez długie lata od Polski, tworzy jednak wciąż o Polsce, pisarz odpowiada, że trudno byłoby mu stworzyć literaturę chińską, skoro jest emigrantem polskim. Przewrotność jego charakteru ujawnia się nawet wówczas, gdy mówi o kuchni francuskiej. Wiadomo, że wszyscy zachwycający się jej specjalistami, on natomiast uważa, że jest orzeźwiający plackiem z jabłkami i że w ogóle Francuzi nie mają wyobraźni, gdyż jedzą każdą potrawę osobno.

Interesujące są podglady pisarza na temat sztuki twórczej i odwrotnej, wpływu Wersalu na ducha Francji, czy rozważania o Dantem.

Jego zamilowanie do piękna najlepiej potwierdza żona — uroczą, młodą Kanadyjkę, Rita Labrosse, która zaopiekowała się nim u schyłku życia i konsekwentnie realizuje wolę pisarza dotyczącą publikacji jego dzieł. (Ostatnio wydała książkę „Jemu poświęconą”).

Na wystawie mocno wyeksponowano ziemskie pochodzenie Gombrowicza i jego stosunek do własnej rodziny. Nie lubił ziemianstwa, uważał, że powinien mieć arystokratyczny rodowód. Uderzające jest to, że człowiek, który wychował się w salonach, który początkowo właściwie nie musiał robić, a jednak robił tak wiele, który miał wszystko podane na tacy, lecz odrzucał to, że z całej przeszłości w małym miasteczku, gdzie się urodził, została kupka śmieci, a przez wybitnego człowieka, który nie mógł się tym w pełni cieszyć.

Uderzające jest to, że człowiek, który wychował się w salonach, który początkowo właściwie nie musiał robić, a jednak robił tak wiele, który miał wszystko podane na tacy, lecz odrzucał to, że z całej przeszłości w małym miasteczku, gdzie się urodził, została kupka śmieci, a przez wybitnego człowieka, który nie mógł się tym w pełni cieszyć.

Uderzające jest to, że człowiek, który wychował się w salonach, który początkowo właściwie nie musiał robić, a jednak robił tak wiele, który miał wszystko podane na tacy, lecz odrzucał to, że z całej przeszłości w małym miasteczku, gdzie się urodził, została kupka śmieci, a przez wybitnego człowieka, który nie mógł się tym w pełni cieszyć.

Uderzające jest to, że człowiek, który wychował się w salonach, który początkowo właściwie nie musiał robić, a jednak robił tak wiele, który miał wszystko podane na tacy, lecz odrzucał to, że z całej przeszłości w małym miasteczku, gdzie się urodził, została kupka śmieci, a przez wybitnego człowieka, który nie mógł się tym w pełni cieszyć.

Uderzające jest to, że człowiek, który wychował się w salonach, który początkowo właściwie nie musiał robić, a jednak robił tak wiele, który miał wszystko podane na tacy, lecz odrzucał to, że z całej przeszłości w małym miasteczku, gdzie się urodził, została kupka śmieci, a przez wybitnego człowieka, który nie mógł się tym w pełni cieszyć.

Uderzające jest to, że człowiek, który wychował się w salonach, który początkowo właściwie nie musiał robić, a jednak robił tak wiele, który miał wszystko podane na tacy, lecz odrzucał to, że z całej przeszłości w małym miasteczku, gdzie się urodził, została kupka śmieci, a przez wybitnego człowieka, który nie mógł się tym w pełni cieszyć.

Uderzające jest to, że człowiek, który wychował się w salonach, który początkowo właściwie nie musiał robić, a jednak robił tak wiele, który miał wszystko podane na tacy, lecz odrzucał to, że z całej przeszłości w małym miasteczku, gdzie się urodził, została kupka śmieci, a przez wybitnego człowieka, który nie mógł się tym w pełni cieszyć.

Uderzające jest to, że człowiek, który wychował się w salonach, który początkowo właściwie nie musiał robić, a jednak robił tak wiele, który miał wszystko podane na tacy, lecz odrzucał to, że z całej przeszłości w małym miasteczku, gdzie się urodził, została kupka śmieci, a przez wybitnego człowieka, który nie mógł się tym w pełni cieszyć.

Uderzające jest to, że człowiek, który wychował się w salonach, który początkowo właściwie nie musiał robić, a jednak robił tak wiele, który miał wszystko podane na tacy, lecz odrzucał to, że z całej przeszłości w małym miasteczku, gdzie się urodził, została kupka śmieci, a przez wybitnego człowieka, który nie mógł się tym w pełni cieszyć.



Kronika

INAUGURACJA MIESIĄCA PAMIĘCI NARODOWEJ odbyła się w ub. sobotę w Kutnie. Tegoroczne obchody mają szczególną wymowę w związku z 50 rocznicą wybuchu II wojny światowej. Po złożeniu wieńców pod Pomnikiem Bractwa Broni oddając z licznych województw ułady się następnie do Muzeum Bitwy nad Bzurą, zbudowanego w kształcie rotundy w kutnowskim parku.

NA SCENIE TEATRU WIELKIEGO w Łodzi wystąpił zespół Teatru Miejskiego z Heilbronn. I bm. prezydent miasta Jarosław Pietrzyk przyjął przebywającą w naszym mieście delegację tego znacznioniemieckiego miasta, na czele z nadburmistrzem Manfredem Weinmannem i dyrektorem teatru — Klaussem Wagnarem. W spotkaniu wzięli udział sekretarz KŁ PZPR — Grzegorz Misiewicz i dyrektor Teatru Wielkiego — Sławomir Pietras. Dokonano przy tej okazji oceny dotychczasowej współpracy i potwierdzono gotowość jej rozszerzenia.

W AUDITORIUM MAXIMUM UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO obradowało Niezależne Forum Kultury. Wzięło w nim udział wielu wybitnych naukowców i artystów, m.in. Witold Lutosławski, Andrzej Wałda, Julian Strzykowski, Henryk Samsonowicz, Andrzej Łapicki, Jerzy Turowicz, Jan Józef Szczepański, Jacek Boccnanski, Jacek Woźniakowski, Edmund Osmaczka, Grzegorz Białkowski i Władysław Fimecz. Głównym tematem wystąpienia była jeność i niepołączność kultury bez względu na miejsce jej powstawania i na ideologiczne przesłanie. Zorani przyjęli projekt „Karty Kultury Polskiej”.

MIAŁO 10 LAT od śmierci wielkiego filmowca i podróżnika — Włodzimierza Fuchalskiego. Z tej okazji 3 bm. odbył się w kinie „Lary” pokaz sześciu filmów tego wybitnego twórcy. W tych oniach ukazano także wspaniały album ze zdjęciami z jego filmów, fotografiami i ze wspomnieniami Macieja Łukowskiego.

MIEDZYNARODOWA EKSPOZYCJA MASZYN POLIGRAFICZNYCH „Poligrafia” i Międzynarodowe Targi Elektroniki, Telekomunikacji i Techniki Komputerowej „Infosystem” — to dwie kolejne powstające w Łodzi wystawy, które odbędą się w Poznaniu od 10 do 14 kwietnia. W ekspozycji „Poligrafia” wezmą udział wystawcy z 11 państw. W sumie 67 wystawców krajowych i zagranicznych zaprezentuje i przedstawi oferty handlowe maszyn i urządzeń do składu drukarskiego, druku offsetowego, sitodruku, materiałów i sprzętu do kopiowania, fotoreprodukcji, farby drukarskie itd.

W KALISZU ROZPOCZĘŁY się przygotowania do obchodów setnej rocznicy urodzin Marii Dąbrowskiej (w październiku). Kaliskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk przygotowuje z tej okazji sesję naukową z udziałem wybitnych znawców twórczości autorki „Nocy i dni” z kraju i zagranicy. W Muzeum w Rossowie otwarta będzie bogata ekspozycja, zaś kaliski teatr im. Bogusławskiego zapowiada spektakl oparty na „Dziennikach” pisarki.

TEGO JESZCZE NA AUKCJACH NIE BYŁO. Owszem, płótna Dudy-Gracza przedstawiające w Polskim Domu Aukcyjnym za 8,5 mln zł wystraszili nabywców, za to za pokasne sumy nabywano antyki i biżuterię. Jednakże czegoś takiego, jak to co, wydarzyło się na aukcji firmy Drouot nie notowano w żadnych renomowanych domach aukcyjnych. Odtąd sprzedano tam niedawno... 3,5 metrowej wysokości gilotynę z okresu rewolucji francuskiej za 187 tys. franków. Zarówno sprzedawca jak i nabywca tego strasznego narzędzia kaźni nie ujawnili się. Największą jednak sensację wzbudziły wystawione pod młotem... szczątki króla Ludwika XVI i królowej Marii Antoniny, za które zapłacono 70 tys. franków...

„STOWARZYSZENIE PAX WOBEC SZANS I ZAGROZEŃ EDUKACJI NARODOWEJ” — to temat dyskusji, jaką poprowadził w siedzibie oddziału łódzkiego uczestnik „Okrągłego Stołu” — red. Jerzy Marlewski.

ŁÓDZKI DOM KULTURY zaprasza na koncert piosenkarki francuskiej — Chantal Grimm. Jest ona piosenkarką, poetką i kompozytorką w jednej osobie. Koncert odbędzie się w sali kinowej ŁDK w dniu 10 kwietnia.

W PIWNICY TEATRALNEJ Centrum Informacji Kulturalnej odbyła się pierwsza premiery na tej scenie. Bronisław Wrocławski — aktor Teatru Nowego zaprezentował „Moje liście do władz” M. Bułhakowa, w reżyserii Łukasza Korwina i scenografii Zuzanny Korwin.

DZIELNICOWY DOM KULTURY Łódź-Górna zaprasza nie zreszonych twórców do udziału w Wiosennym Turnieju Jednego Wiersza o tematyce miłosnej. Do turnieju można także przystąpić z tekstami piosenek o tej samej tematyce. Przewidziane są nagrody od 20 do 10 tys. zł. Turniej odbędzie się w siedzibie DDK w Łodzi, przy ul. Siedleckiej 1 w dniu 16 kwietnia.

RADA UCZELNIANA ZSP Politechniki Łódzkiej organizuje IV Akademicki Przegląd Piosenki Satyrycznej i Kabaretowej — APPSIK, który odbędzie się w dniach 14 i 15 kwietnia br. w sali kinowej, przy al. Politechniki 3a. Organizatorzy gościć będą na Przeglądzie m.in. Konrada Materna, Jacka Zwoźniaka, Zespół Reprezentacyjny i wielu innych wykonawców.

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

tował na swój jubileusz spektakl „Moskwa — Pietuszki”, będący adaptacją powieści Jerofiejewa, który zaprezentowali łódzianie warszawskiej „Bilbności”.

CHCIAŁBY ZAPOMNIEĆ

„Owszem. Popelnilem kiedyś ogromny błąd — powiedział Andrzej Łapicki dla „Kuriera Polskiego” — który ciągle się za mną wlezie. Myślę o „Kronice Filmowej” i moim upiornym głosie, który jakby zza grobu wciąż mnie prześladował po 40 latach. Popelnilem ten błąd mając lat 21, więc będąc w wieku, kiedy nie w pełni zdaje sobie człowieka sprawę z tego, co się może odejść na całym życiu. Z najwyższą niechęcią słucham dzisiaj tych głupstw, które kiedyś w „Kronice” czytałem. Iak więc ważny jest każdy życiowy krok, który się robi...”

MARNIEJEMY

„Krzysztof Zanussi uważa, że rola inteligencji polskiej ogromnie zmalała ze względu na degradację. Zdegenerowała się z własnej winy i z winy obywateli w warunkach społecznych. Bo jeżeli w każdym inteligentnym domu słysze dzisiaj przede

wszystkim rozmowy o pieniądzu, to wiem że to jest do wód również wewnętrznej degradacji, tzn. że ludzie się pogodzili z tym, że to jest najważniejszą sprawą. A jeśli tak, to nie mają żadnego prawa do przywództwa duchowego. Ktoś, kto zastanawia się jak związać koniec z końcem nie może pełnić roli przewodniej. Smutne, ale niestety prawdziwe. Najgorsze jest jednak to, iż nie jest to sytuacja przejściowa, lecz bardzo długo trwający stan zapalny. Doprowadzono do niego całymi latami, upokarzając inteligencję na każdym kroku, marnując jej potencjał, zubażając materialnie. Teraz — zbiera się plon tej bezmyślnej polityki.” („Wprost”)

A JEDNAK PRAWDZIWE

Nieprawdopodobne zestawienie faktów zamieścił „St. Petersburg Times” w związku z niedawną 25 rocznicą zabiłstwa J. F. Kennedy’ego, a śmiercią, sto lat wcześniej, prezydenta Abrahama Lincolna. „Obaj prezydenci byli członkami Izby Reprezentantów pierwszy od 1847 r. drugi od 1947 r. Obu wybrano na prezydentów po przegraniu wcześniejszych

kampanii o uzyskanie nominacji swoich partii do kandydowania na urząd wiceprezydenta. Lincoln został prezydentem w 1860, a Kennedy w 1960 roku. Obaj byli rzecznikami praw obywatelskich. Obaj stracili synów w okresie prezydentury, żony obu krytykowały za rozrzutne wydawanie pieniędzy na ubiory. Nazwiska obu zawierają po osiem liter. Sekretarz Lincolna nosił nazwisko Kennedy, sekretarz Kennedy’ego — nazwisko Lincoln; pierwszy odrzucił prezydentowskie udania się do teatru, drugi udania się do Dallas. Obu prezydentów zamordowano w piątek w obecności żon. Obu postrzelono w tył głowy. Nazwiska obu morderców zawierają po 15 liter. Obaj mordercy byli południowcami i rzecznikami niepopularnych w USA idei politycznych. Booth zastrzelił Lincolna w teatrze i ukrył się w magazynie Oswald zastrzelił Kennedy’ego z magazynu książek, a ukrył się w kinoteatrze. Obaj zabójcy zostali zabić nim postawiono ich przed sądem. Następcy obu zabitych prezydentów nosili nazwisko Johnson. Obaj byli demokratami z Południa. Obaj byli senatorami. Andrew Johnson urodził się w 1808, a Lyndon Johnson w 1908 roku. Ich imiona i nazwiska zawierają po 13 liter.”

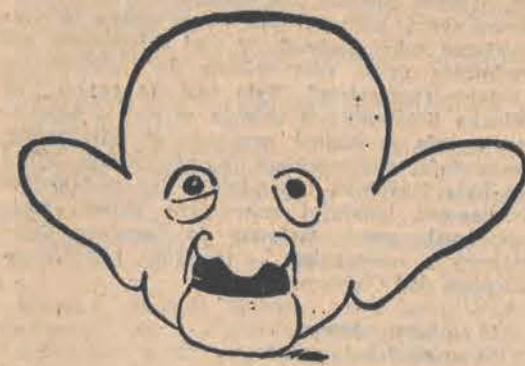
kina z Moskwy, którzy zaprezentują się przed łódzką publicznością w spektaklu O’Neila „Pożądanie w cieniu wiozów”.

I wreszcie nie ostatnie z interesujących propozycji. Łódzki Dom Kultury wraz z Teatrem Petrag — „Grupa 80” Uniwersytetu Łódzkiego zapraszają na przedstawienie Theatre de L’auda z Francji. Francuscy goście przedstawia w sali kina ŁDK 5 i 6 kwietnia spektakl: „Pierochole et les Coqueciennes” (Niewstążone historie Pierochole zwanego Zóliciem) oraz „Amore e fame” (Miłość i kobieta), w dniach 7 i 8 kwietnia br.

Tak więc każdy, kto rzeczywiście interesuje się teatrem znajdzie dla siebie coś interesującego.

M. B.

Galeria pisarzy



Rys. Sławomir Arabski

KAZIMIERZ PASZKOWSKI

Stary człowiek i morze... Jeszcze bardzo wiele. Bowiem krzepki duch drzemie W tym czupurnym ciecie.

ROMAN GORZELSKI

ZET

ój przyjaciel Mit'ka Priwałow miał trzech braci: dwaj walczyli pod Stalingradem, trzeci zaledwie raczkował. Ojciec Mit'ki zmarł w tak zwanej „trudarni”, czyli w arnii pracy, dokąd trafiali ludzie „padzritielnyje”, a więc niepełni. Matka Mit'ki, kobieta chora i wycieńczona — pamiętam ją siedzącą na przybicie, bladą, oddychającą z trudem — także długo nie pożyła. Przewodniczący brygady codziennie przychodził wyganiać ją do pracy, ale kobieta tylko machała ręką, a jej ogromne, błyszczące od gorączki oczy, zdawały się mówić, że kolchoz niestety będzie się musiał obejść bez niej. Zmarła w nocy, cicho, bez placzu najbliższych i bez zawołania bab. Pogrzeb miała więcej niż skromny, bo cała Ilinka wiedziała, że Priwałowa była czarownicą i wiedziała, że zabierała krowom mleko, a dziewczyny pozbawiała płodności. Ta opinia musiała zaistnieć dawniej, zanim zjawiliśmy się we wsi. Mnie to nie przeszkadzało i dlatego jako jeden z nielicznych przyjaźniłem się z Mit'ką.

I oto gruchnęła wieść, że najstarszy z Priwałowów, Saszka, przyjeżdża na urlop. Rzecz właściwie bez precedensu, bo jakoś nikt nigdy jeszcze z frontu nie pojawiał się w Ilince, przychodzili jedynie zawiadomienia o bohater-skiej śmierci lub o tym, że taki a taki przepadł bez wieści. A tu — proszę! Saszka wraca! Cała wieś wyległa na step, by powitać młodego lejtnanta. Saszka szedł uśmiechnięty, mały Kola czepiał się jego butów, a Mit'ka promieniejąc ze szczęścia kroczył obok brata. Saszka przyje-

wiośną 1943 zjawili się w Ilince przedstawiciele Związku Patriotów Polskich. Mówili dobrze po polsku, ale gruchnęła wieść, że to wcale nie są Polacy, tylko funkcjonariusze partyjni albo i co gorsza z NKWD i chcą wybadać nastroje. Więc lepiej być z nimi na dystans i do żadnego ZPP się nie zapisywać. Ponieważ mieszkaliśmy prawie luksusowo — mieliśmy całą izbę dla siebie — więc w naszym mieszkaniu odbywały się wszystkie spotkania rodaków. Dziś nie pamiętam, czy rodzice podpisali deklarację, natomiast wiem z pewnością, że u nas powstał załączek szkoły polskiej i wieczorami zaczęli przychodzić młodzi Polacy na głośne czytanie, a później na naukę języka i literatury ojczystej. Przysłuchiwałem się tym zajęciom ze zdziwieniem, bo na skutek nieustannego przebywania z Rosjanami, prawie przez siedem miesięcy w roku oddzielony od rodziców, po paru latach zapomniałem nie tylko liter, ale i mowy ojczystej. Teraz przysłuchiwałem się i niczego nie rozumiałem. Natomiast zapamiętałem książkę — były to wiersze — oraz ilustrację przedstawiającą mężczyznę rozszarpywanego przez czarne ptactwo. Dopiero w kilka lat później, już w kraju, natrafiłem na podobne wydanie „Dziadów” z ową niezwykłą dla mnie ilustracją.

Gdzieś w 1943 roku lub może rok później, do Ilinki doprowadzono linię telefoniczną. Sprawa nie była prosta: najbliższa osada oddalona o 4 km znajdowała się za Izymem. Był to kazachski aul Karatal. Najbliższa wioska rosyjska — Aleksandrowka — znajdowała się już

Owa Lidka przyjechała do Ilinki z Leningradu. Tuż przed blokadą trafiła na konwój dowożący paliwo do miasta i któryś z kierowców wywiózł ją na południe. Teraz była w Kazachstanie. Nosiła się modnie, powiedziałabym ekstrawagancko, farbowała włosy. Była taka jakaś cała biała, pachnąca i strzelista. Dziewczeta z Ilinki, żeby mieć białe zęby, musiały żuć „żuwaczki”, smole powstają ze spalania brzozy kory. Smoła była czarna, przez parę godzin w ustach trzaskały na zębach resztki węgla i dopiero potem stawała się najprzedniejszą gumą do żucia. A Lidka nie, Lidka miała zęby przywiezionym z Leningradu proszkiem. I jej zęby były nie tylko bielsze, ale i równiejsze.

Mój starszy kolega Kazbek, który właściwie przyjaźnił się z Fiedią Pruskowem (miał ich obu na amatorskiej fotografii: Fiedia niższy, Kazbek wysoki, obaj w walonkach) ale mnie także tolerował, był Kazachem. Bardzo postawny, smukły, zwinnie i bardzo silny. W 1944 poszedł do wojska i zdaje mi się, że zginął gdzieś w Polsce. Otóż Kazbek zakochał się w Lidce, jak to się w takich przypadkach mówi, z pierwszego wejrzenia. Była to miłość gwałtowna, azjatycka, nie znająca przeszkód i oporów. Ale Lidka jakoś bokiem spoglądała na Kazbeka, niby go odpychała, niby kokietowała, co było rzeczą niebezpieczną i ryzykowną. Kazbek żył w tym czasie u Niurki, fluki ją od czasu do czasu, urządzał awantury. Ale Niurka wiedziała, że jeśli bije, to znaczy kocha naprawdę.

A po wsi wieczorami dziewczęta chodząc gdzieś za opłokami, śpiewały:

Wietter duje pod kizaki,
Lidka lubi kirgiziat!

Dziewczyny snadź wiedziały lepiej od Lidki, że w jej sercu coraz bardziej zadomowił się Kazbek. No i wkrótce porzucił Niurkę. Taka to sentymentalna, a przecież całkiem banalna historia.

Zima na przełomie lat 1943/1944 była najokrutniejsza ze wszystkich zim. Nie z powodu mrozów, bo do tych przywykliśmy. Nie z powodu większej liczby zamrzniętych w stepie, to zdarzało się zawsze podczas śnieżycy, owych słynnych buranów syberyjskich niosących śmierć każdemu, kto dostawał się w ich wściekłą i zachłanną władzę. Tragizm owej zimy spowodowała odra, choroba dziś rzadka, nawet nie wymagająca hospitalizacji. Początkowo umierało dwoje, troje dzieci dziennie, potem zaczęli umierać ludzie starsi. W ciągu dwóch tygodni zmarło 40 dzieci i ponad setka dorosłych. Lekarstw nie było. Najbliższy lekarz przyjmował w Jawlence, 30 km od nas. Ale w Jawlence także nie było apteki.

Strach paść na wioskę. Rozpoczęło się okadzanie domów, pojawiły się jakieś podejrzane baby, które chodziły od domu do domu z czarnymi ikonami i mamrotali zaklęcia. Dzieci zamknięto w mieszkaniach.

Miałem pecha: zachorowałem jako jeden z pierwszych. Początkowo dostałem wysokiej gorączki, a w jakimś czasie później pojawiła się wysypka.

Ojciec, mając świadomość, czym to się może skończyć, poszedł pieszo — mrozy trzymały ostro, termometr nie spadał poniżej 30 stopni Celsjusza — do Jawlenki, do lekarza. Wyszedł rano, wrócił przed nocą, 60 kilometrów w ciągu dnia!

W Jawlence przyjmował jeden jedyny lekarz, Niemiec, jeniec wojenny spod Stalingradu. Leków nie dał, natomiast dał dobrą radę: trzeba do wody dodawać po łyżeczce czerwonego wina. Najlepiej domowej roboty. Nawet wskazał miejsce, gdzie można takie wino dostać. Przez miesiąc pojmowałem tym winem. Wyzdrowiałem. Ale z mojej klasy połowa kolegów nigdy już nie zasiała w lawkach.

O medycynie z tamtych czasów można by-łoby napisać sporo. Nie zapomnę jak po raz pierwszy zetknąłem się z leczeniem żółtaczki. Otóż w cieście zapiekano wszy. A wszy było zażalenie, właściwie były one plaga, której nie udawało się zlikwidować. Cała szkoła chodziła z ogolonymi głowami, dziewczynki także. Iskanie wszy było normalną i codzienną czynnością we wszystkich domach. Trzeba jednak pamiętać, że nie było wówczas ani mydła, ani proszków do prania. Jedynym środkiem zwalczania było wspomniane iskanie oraz gotowanie bieleziny. Wracając do żółtaczki: wszy trzeba było nabierać dużo, bardzo dużo. A efekt? Po zjedzeniu chleba nafaszerowanego wszami żółtaczka mijała bez śladu. Po latach, kiedy będąc studentem Akademii Medycznej (niestety, nie ukończyłem jej), pytałem mądrych ludzi o ten prymitywny, barbarzyński sposób leczenia choroby zakaźnej. Ku memu zdumieniu nie wyolwiano to u nich zgorzelenia ani kpin: Owszem, mówili, to znany sposób i skuteczny, rozpowszechniony u ludów prymitywnych.

Wszy nie brakowało i walczone z nimi wszelkimi możliwymi sposobami. A więc — golenie głów. Starsi goili się pod pachami i w kroczu. Nie było niczym zaskakującym, jeśli idąc ulicą obok jakiegoś domu, wdziała się przez szybę, jak jedna kobieta goilią drugą krocze. W czasie wielomiesięcznego przebywania w polu, do codziennego rytuału należało iskanie wszy w ubraniach. Po pracy zmęczeni ludzie siadali wokół ogniska i zaczynało się polowanie. Dlatego też tyfus raz jeden przewalił się przez wieś, a nie, jak wspominali starzy kolchoźnicy, po kilka razy w ciągu roku.

C. D. N.

Panorama

WŁOSKA PARTIA KOMUNISTYCZNA

Od 18 do 22 marca 1989 roku obradował w Rzymie XVIII Zjazd Włoskiej Partii Komunistycznej — największej partii komunistycznej na Zachodzie oraz największej partii politycznej po chadecji we Włoszech. Partia ta jednak odniosła ostatnio szereg porażek wyborczych i stanęła wobec konieczności dokonania zmian programowych. Zmiany te zostały zarysowane w referacie wygłoszonym przez sekretarza generalnego Włoskiej Partii Komunistycznej — Achille Occhetto. Zmiany programowe określone skróto jako „alternatywa” mają doprowadzić do większego pragmatyzmu w polityce partii oraz uwzględnić w jej działaniu postęp techniczny dokonyjący się na świecie oraz inną rolę klasy robotniczej. Program ten zarysował proces przekształcania partii komunistycznej w kierunku partii socjaldemokratycznej; zastępowanie rewolucyjności reformatorstwem. Zmiany te mają dać Włoskiej Partii Komunistycznej przewodnictwo wśród lewicy włoskiej. Sprzeciwia się temu jednak partia socjalistyczna Bettino Craxiego, która obecnie lewicy przewodzi. Stąd w dyskusji na XVIII Zjeździe WPK spora było polemik z socjalistami.

Referat odmienny w charakterze od tego, który przedstawił Achille Occhetto, sprezentował delegatom XVIII Zjazdu WPK przedstawiciel grupy zachowawczej Armando Cossutta. Jego zdaniem program przeobrażeń we Włoskiej Partii Komunistycznej może doprowadzić do utraty jej tożsamości. Opinia taka zyskała uznanie tylko 6 procent delegatów. Referat ten został odrzucony zdecydowaną większością głosów.

W programie przyjętym przez XVIII Zjazd Włoskiej Partii komunistycznej zrywa się z zasadą centralizmu demokratycznego, uznaje się, że dla rozwiązania problemów, przed jakimi staje naród włoski, niezbędne jest współdziałanie z ugrupowaniami prerekformatorskimi, odrzucenie schematów ideologicznych, utworzenie koalicji lewicowej i podjęcie współpracy z ugrupowaniami katolickimi.

Stosunki z KPZR i innymi partiami komunistycznymi i robotniczymi powinny opierać się na zasadach dialogu i pełnej autonomii.

Wśród różnych problemów, jakie wymagają udziału WPK w ich rozwiązaniu wymagania są problemy ekologiczne. Postanowiono, że na zebraniach WPK obowiązywać będzie zakaz palenia tytoniu.

Sekretarzem generalnym KC WPK został ponownie wybrany Achille Occhetto, a poprzedni sekretarz generalny Alessandro Natta został przewodniczącym KC Włoskiej Partii Komunistycznej.

CSRS

Po raz pierwszy w historii czeskosłowackiego parlamentu przyjęto ustawę określającą prawa i obowiązki posłów. Ustalono między innymi, że wszelkie dokumenty mogą być rozprowadzane po obowiązkowym 60-dniowym terminie upływającym od dnia ich doręczenia posłom. Do tej pory posłowie otrzymywali takie dokumenty w ostatniej chwili i wielokrotnie głosowali o ustawach, z którymi nie byli w stanie dokładnie zapoznać się.

Posłowie wyrazili też brak satysfakcji ze sposobu odpowiedzi i wyjaśnień ministrów na ich interpelacje.

RUMUNIA

Nicolae Ceausescu wystąpił na wiecu w Davie i stwierdził, że w 1988 roku w Rumunii osiągnięto produkcję większą niż w 1987 roku, chociaż planowe zadania na rok 1988 nie zostały wykonane. Powstały też zażaleństwa, że w dwu pierwszych miesiącach 1989 roku, które powinny być nadrobione Nicolae Ceausescu przyznał, że w polityce Rumunii popełniono błędy, które jednak zostały już usunięte. Rumunia nieprzerwanie rozwija się, choć świat współczesny przeżywa różnego rodzaju kryzysy. Zdaniem mówcy w 2000 roku w Rumunii zostanie wypelniony program budowy wielostronnie rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego i powstanie warunki dla wcielenia w życie komunistycznych zasad pracy i życia.

WĘGERSKA REPUBLIKA LUDOWA

Na Węgrzech postanowiono, że 18 czerwca 1989 roku w 31 rocznicę stracenia Imre Nagya oraz Pala Maletera, Miklosa Gimesa, Jozsefa Szilagyiego i Gezy Losonczyego — aresztowanych i sądzonych po 1956 roku — dokona się ich ponownego pochowania. Do tej pory spoczywali oni w kwaterze 301 Centralnego Cmentarza w Budapeszcie — był to grób anonimowy. Terminu ekshumacji nie podano do publicznej wiadomości.

Gyula Borics — sekretarz stanu w ministerstwie sprawiedliwości — podał, że ci, którzy wydarzenia 1956 roku na Węgrzech nadal uważają za kontrrewolucję, są też przeciwni ekshumacji i ponownemu pogrzebowi.

Opracował:
W. BOROWY

W Kazachstanie u początku lat czterdziestych (5)

Saszka gieroj przyjechał na urlop

EUGENIUSZ IWANICKI

chał, aby uporządkować sprawy rodzinne, to znaczy by umieścić młodszych braci w jakieś rodziny lub u kogoś z sąsiadów. Wydał mi się Saszka bohaterem, o jakim słyszeliśmy w szkole lub czytaliśmy w „Leninskim Znamieniu”, gazecie przywożonej od przepadku do przepadku. Saszka podziwiał orderami, przez pierś biegła koaliczka, a s tytu dyndał wielgachny nagan. Nie miał też ogolonej głowy.

— Pa czynu przynależny — mówił. — Włosów nam się nie ścina, rozumiecie? Zaden politruk nie ma gołej głowy. Tylko, jeśli któryś trafi do Fryców, to od razu wiadomo kto jest kto. Zwykłych oficerów odsyłają do lagrów, a nas, na miejscu...

Saszka śmiał się, pił ostro; potem strzelał na wiat w sufit. A nam zamierzało serce i bardzo chcieliśmy tak jak on być Fryców i strzelać z ciężkiego, czarnego nagana. Narzeczona, Saszki, Dunia, trzymała się go kurczowo i nie opuszczała ani na moment. Była to miłość jeszcze sprzed wojny, miłość wielka jak z powieści Lwa Tołstoja. Taką miłość może zniweczyć jedynie śmierć. Aż nagle — sensacja! Saszka ze- nił się z dziobatą i rudą Klawal Dunia kazał się zabierać do domu, a Kława tegoż samego wieczora przeniosła się do Priwałowów. Czegoś takiego nikt tu nie pamiętał, bo Kława tak pasowała do Saszki jak kolchozowy wół do ogiera samego przewodniczącego sielsowietu. Ale Kława była władza, pracowała właśnie w sielsowiecie, i — szeptało — wiele mogła, właściwie mogła wszystko, nawet zwolnić z wioski.

I tak Saszka, przystojniak i oficer, ożenił się ostatniego dnia urlopu. Wysocko nad chałupą wywieszono barwną wiazkę wstążek, rano matka Kławy z poplamionym prześcieradłem pół dnia stała w bramie, by ludziska naocześnie przekonali się o czystości dziewczęcej jej córki. Śmiano się z tej demonstracji gdyż Kława znana była z rozwiązłości, ze skłonności do hulanki, z miłości do lekkiego życia. To ona pierwsza zaczęła śpiewać na wieczorkach ową słynną i wkrótce popularną piosenkę, której refren brzmiał:

Nie twój maszasz dieto,
Nie twój pizda tierpieta.

Saszka ożenił się i nazajutrz pojechał do „wojny jedności”, aby już do końca wojny być Fryców i stać rozpaczliwe listy do Dunii, w których zapewniał, że jak tylko wróci, to Kława chwyci za rude kudy i zawlecze do Izymu i tam własnoręcznie utopi.

Mit'ka i Kola nadal wiedli żywot nikomu niepotrzebnych sierot. Kława nie interesowała się nimi zupełnie. Mit'ka często pomagał mi w zdobywaniu ptasich jaj, przy zakładaniu wyków, podczas łowienia ryb. Moi rodzice, jak mogli, opiekowali się malutkim Kola.

Ważnym wydarzeniem, które zaważyło na stosunku władz lokalnych, a także wielu osób prywatnych, do nas Polaków, było wyprowadzenie w drugiej połowie 1942 roku wojsk polskich na Błiski Wschód. Prawie od razu ustaliliśmy się ponownie wrogami nr 1. I oczywiście obojętnie towarzysza Józefa Stalina. Nawet Niemcy, których pojawiło się do tego czasu sporo — byli to obywatela radzieccy pochodzenia niemieckiego, których „profilaktycznie” wysiedlano ze stref przefrontowych — nawet oni nie byli tak szukanowi, jak Polacy. Może jedynie byłem mniej bity przez kolegów i nie stawiano mnie pod tablicą, by zapytać, czy będę walczył przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Natomiast ojciec był poddawany rewizjom osobistym, brano go na przesłuchania i zadawano nieodwołalnie jedno i to samo pytanie: „Dlaczego nie uciekłeś z białym Andereem?” Ojciec tłumaczył, że stawał na komisie, ale go odrzucono jako jedynego żywcia rodziny. (Była to prawda i sytuacja powtórzyła się, gdy powstała Pierwsza Dywizja im. T. Kościuszki).

Nagonka trwała krótko, bo tak jakoś na

prawie w lasach, oddalona o 7 km, rejon (coś jak nasz powiat) Jawlenka była jeszcze dalej, bo już 30 km, a najbliższe miasto Pietropawłowsk — 120 km. Linię ciągnięto — napowietrznie — z Jawlenki. Aparat, na korbkę, umieszczono w domu przewodniczącego sielsowietu. Niemal cała wieś przyszła popatrzeć na to cudo. Ale nikt nie podchodził blisko, bo przecież nie wiadomo co się może wydarzyć. Kiedy telefon zadzwonił po raz pierwszy, naród runął do pobliskich rowów. (Droga biegnąca przez wieś była oddzielona rowami od części umownie nazwanej chodnikami).

Przewodniczący długo nie dotykał aparatu. Jego żona, czyniąc znaki krzyża i zalewając się łzami, trzymała go za rękę. W końcu przewodniczący przemógł się.

Powylaziliśmy z rowów.

— Słysz — mówił ochryplym głosem przewodniczący. — Ale gdzie ty jesteś? — Przeszł z nogi na nogę, spościł się. — Ty mi się pokaż, a potem mów, ile pudów pszenicy mamy dostarczyć, a ile mięsa. Widzicie — zwrócił się do tłumu, który wstrzymując oddech, śledził każdy ruch przewodniczącego. — Chce pszenicę i mięso, a sam się schował. A ja skąd mam wiedzieć, czy to nie mówi na ten przykład domowój?

(Dla wyjaśnienia: domowój, to duszek zamieszkujący wszystkie domostwa w Rosji, który czasami lubi płać różne nieprzyjemne figle).

— Nie jestem głuchy, słyszę, ale gdzie ty jesteś? W Jawlence?

Przewodniczący aż wychylił się przez okno. — Ludzie, on powiada, że jest w Jawlence! Trzydzieści kilometrów stąd! A mówi mi do ucha. Rozumiecie co z tego?

Nikt niczego oczywiście nie rozumiał. — Ty na mnie nie krzycz — zełościł się w końcu i z gniewem popatrzył na słuchawkę. — Pokaż mi się na oczy, wtedy porozmawiamy. Isz ty, chrien marżowyj, duraka waliajcie!

I tak, mimo linii telefonicznej, władze zwierzchnie i tak musiały przyjeżdżać do kolchozu, bo przewodniczący sielsowietu za nic nie chciał słuchać poleceń wydawanych przez słuchawkę telefoniczną.

Panował zwyczaj, że panna młoda, ustrojona w kolorowe wstążki przymocowane do wianka, chodziła po wsi i sprządała ludzi na wesele. Mama miała ze sobą swoją nocną koszulę, białą, obszytą koronką. Ta koszula przyniosła nam spore zyski, jako że była wypożyczona w charakterze sukni ślubnej. W niej dziewczyny paradowały przez całą wioskę do sielsowietu „człoby raspiatsia”. Było tak do czasu, aż Niurka Sołowiejczyk uciekla w niej z własnego wesela z jakimś przegrydnym harmonistą, zostawiając narzeczonego na pośmiewisko. Niurka była Ukrainką i pamiętam, jak pod akompaniament białajki ochryplym głosem wyśpiewywała swoją tęsknotę do Siemiona Dmitrijewicza, nauczyciela — inwalidy, który stracił nogę pod Charkowem:

Aj ty harny Semen,
Da ty siad' kolo mene.
I u mene kaniaka je,
Swataj mene Semene.

Ale Siemion Dmitrijewicz jakoś się nie kwapił posyłać swatów do Niurki, choć uchodziła ona za krasawicę jakich mało i robotna była jak się patrzy. Miała jednak wadę: nie mogła odmówić żadnemu mężczyźnie. Często zachodziła do nas i zaczynając opowiadać o czymś obojętnym, nagle wybuchała płaczem:

— Co za gad z tego Kazbeka, co za gad Jadi i pił przez cały miesiąc, a teraz zasmakowała mu Lidka! Ale ja ją urządzę, oczy kwasem wypalę. Jej Bohu wygud!

— Waiter! — Nie powiedział tego głośno, lecz zabrzmiało to nieprzyjemnie.
— Don't touch him — upomniała go łagodnie Gejsza. Zerknęła na kelnera, który podzielił z szalbierzem uszanowaniem. Był bardzo wysoki i bardzo chudy; miał długą szyję o wydatnej grdyce i okrągłą, lysą głowę z resztką puszystych włosów nad uszami. Smoking wisiał na nim załobnie, ale w swych półprzymkniętych oczach błyszczała inteligencja.

— Dobry wieczór. — Pochylił się nad stołkiem jak żuraw i wręczył im karty.

— Dobry wieczór. Ten Szkot chciałby coś zjeść — powiedziała Gejsza. — Pan na pewno wie, w czym gustują Szkoci.

— Dajmy mu najpierw whisky — rzekł kelner mrugając poufale oko. — Jak on wciągnie w siebie setę whisky, wszystko mu będzie smakować.

— W porządku — zgodziła się Gejsza. — Dla niego whisky, dla mnie jakiś sok.

— Może być grapefruit?

— Może.

— What did he say? — zainteresował podejrzliwie obywatel Zjednoczonego Królestwa.

— On sądzi, że ty jesteś kimś szalenie ważnym i chce cię jak najlepiej ugościć — łgało dziewczę rzucając okiem w jadłospis. — Odbędzie zaraz konferencję z szefem kuchni i przyniesie potrawę nadzwyczajną, bo tu — stuknęła wyklakierowanym paznokciem w kartę — są tylko kraby, dziczyzna, bażant, kaczką po tyrolsku i różne ordynarne dania mięsne. I have just ordered a whisky for you, O.K.?

— O.K.

— And what about a bottle of red dry wine?

— Good — zaciągnął ochoczo cudzoziemiec mile poleciany faktem, że dziewczyna poświęca mu tyle uwagi i że kelner wziął go za wybitną osobistość.

— W takim razie — poleciła Gejsza kelnerowi — niech mu pan poda befszyk z poledwicy, a mnie wystarczy strogonów w kokile. Pieczywo, masło, trochę jarzyn; na deser dwie kawy; nie słodkiego, bo go może znudzić. Macie jeszcze to czerwone argentyńskie wino?

— Mam — przytaknął kelner z rozpędu i natychmiast wyhamował. — Trzymam parę butelek dla specjalnych gości... przecież... Wajda nierzadko wpadnie, był niedawno Kosiński, spodziewamy się w najbliższych dniach Bońka, który rozpuścił się we Włoszech do tego stopnia, że bez wina płaczą mu się nogi na boisku i na parkiecie. Fłaszka starczy?

— Z powodzeniem.

Kelner zgiął kark w głębokim ukłonie i zaśpiewał po angielsku:

— Have a funny and happy night, sir! All the best wishes to you, Her Ladyship!

— On zna angielski — zdziwił się Szkot.

— Owszem. Zna również pięć czy sześć innych języków. Jest kierownikiem lokalu.

— A ty jesteś hrabianką?

— Tak, w drugim pokoleniu — przytaknęło skromnie dziewczę. — W Polsce nie ma to jednak obecnie żadnego znaczenia. Wszyscy stoją w tych samych kolejkach i biorą te same przyskody.

Francis James Moliński kontemlował z satysfakcją wrażenia dostarczane mu stopniowo przez Gejszę. Kiedy wypił whisky, jego stan przeszedł w ekstazę, a potem zawędrował jeszcze wyżej, w krainę euforycznego szczęścia, bowiem kelner, sprytny i dojrzały, umieścił między nim a Gejszą na stole proporzyc z herbem klubu Glasgow Rangers na tle szkockich barw narodowych.

Uuu! — Gejsza przyjrzała się z uznaniem chudzielcowi o dużej szyi i okrągłej głowie. — W Brydza można z facetem grać! Chwyta każdy impuls.

Przyrzekła sobie, że wręczy mu suty napiwek. W Malinowej tymczasem gruchnęła muzyka. Przez dwadzieścia minut artyści dawali gościom ostro w kość, po czym ktoś ich musiał posmarować, bo spróbowali walca.

— Will you dance with me? — zapytała dziewczyna. — I'm sure you're a very good dancer.

— Mylisz się — powiedział wstając. — Tańczę słabo, ale z tobą zrobię to chętnie.

Weszli na parkiet w Malinowej. Po czterech taktach obywatel brytyjski usiłował skrócić dystans dokazywał kolanem, a jego dłoń zjechała na pośladek dziewczyny.

— Take your hand off — rzekła z naciskiem. — Zabierz rękę, kochanie, i to już! Zrozumiano?

— Why? — wybełkotał gorącym szeptem. Pocił się co było w końcu do przewidzenia. Jak każdy stu procentowy brunet o fioleto-czarnym zarostu, nie wydzielał zbyt przyjemnych aromatów. Urodziwa, agresywna twarz była trochę przerysowana. Gejsza widziała kątem oka dwie czarne dziurki w nosie i stwierdziła, że malarz-portrecista przesadził w tym wypadku: podział jej nadmiernie i użył za dużo farby.

— Nie lubisz mnie? — napierał.

— Lubię, ale tańczysz z damą. — I pomyślała: jeśli nawet pójdę z tobą do numeru, to nie działaj. — Podnieś łapkę i odsuń się trochę. To jest wale, trzeba tańczyć elegancko.

— Pocałuj mnie!

— Na to będzie jeszcze czas. No! dosyć, chłopczko! Chodźmy do stołka.

W ten sposób ukluła go po raz trzeci. Posmutniał. Ze szczytu euforii zjechał w dół zniechęcenia. Ledwo jednak usiłował naprzeciw siebie w Złotej Salii, dziewczyna zaczęła odbudowywać nastroj, w czym pomagał jej ze wszystkich sił chudzielec.

— Try it, please. — Dał poprobować Szkotowi wino. — What do you think of it?

— Well, well, well, well, well! — machał ręką zniecierliwiony Brytyjczyk. — Lej pan, po to tyle gadać!

— Don't touch him — powtórzyła Gejsza. — Czemu ciagle go obrażasz? W końcu to on tobie robi łaskę, nie ty jemu.

— Łaskę?

— A co ty myślał, mój drogi? W Polsce, proszę cię, kelner to potęga, a kierownik lokalu to cesarz. No, głowa do góry! Keep smiling! You are so comely urchin! Masz piękny krawal i cudowne włosy, pan zaraz poda mięsiwo.

— W tej chwili, madame! — basował chudy przechera, który takich Szkotów, to mógłby wywrócić na nice w każdej chwili, w dowolnych ilościach.

Andrzej Makowiecki (15) PIĘCDZIESIĄT MELONÓW



Niebawem też, w towarzystwie dwóch innych kelnerów, przystąpił do egzorcyzmów. Sam poprawiał tylko serwetki i sztucze, tamci, zaś, podpuszczeni przez niego, tańcowali dookoła stołu sprawiając wrażenie ludzi niesłychanie przejętych i zapracowanych. Lecz pracy mieli w sumie niedużo. Wymalowali się, krótko mówiąc, z dwoma półmiskami kipiącymi od jarzyn, z kokilką i talerzem, na którym spoczywał słuszny płat poledwicy. Wodę jeszcze jakąś podali i szparagi, po czym odstąpili od stołka, do którego przypadł natychmiast chudzielec o krągłej głowie, aby zapalić świeczki w lichtarzach i napęlić cudzoziemcowi kieliszek.

Gość upił tyk i wpakował sobie do ust kawałek mięsa. Nadgryzł, przewrócił oczami i oświadczył wielkodusznie:

— Magnificent!

— Truly?

— Yes.

— Nie widziałam jeszcze, aby kogoś fetowali tu z taką estymą. Pracujesz w filmie?

— No.

— A co robisz? — Piękne, czyste oczy dziewczyny o długich rzęsach i ciemnozłocistych brwiach wpatrywały się w Szkota z ufnością i oddaniem. — Zakładasz na pewno jakąś solidną spółkę akcyjną.

— Jestem lastrykarzem — wyznał niechętnie Szkot Poczzerwieniał z lekka, co widząc Gejsza podsunęła mu wino i krzyknęła z entuzjazmem:

— To wspaniale! Christer był przecież lastrykarzem; wykładał hotel w Warszawie i przyłożył się trochę do wystroju mojej łazienki. Bardzo lubię lastrykarzy. Pij!

— A ty?

— Ja też umiem jeździć — powiedziała. I zrobiła to z niemąją perswają wysuwając i chowając szybko czerwony zwinięty organ.

Mężczyzna przy sąsiednim stole, którego twarz po jakimś makabrycznym wypadku zeszyta była z kilku oddzielnych kawałków skóry, posłał jej krótkie spojrzenie. Brytyjczyk gorzał. Wrzalo w nim jak w kotłach czarownic.

— Ten Christer powiedział — i poprawił się zaraz: — nakłamał, że byłeś z nim w łóżku...

— Ale oczywiście, że byłem z nim w łóżku, maleńki! Wcale nie nakłamał.

— Gdy cię zobaczyłem, pomyślałem sobie, że jesteś porządną dziewczyną — wyznał łzawo Francis James Moliński.

— Nie bądź śmieszny! Po co ci porządna dziewczyna?

— Ja...

— Nie chcesz chyba prosić mnie o rękę?

Brytyjczyk, który chłonał wino jak elektro-luks, istotnie nosił się z takim zamiarem. Wiedział, że to głupie — nie znał jej przecież, jednak dziewczyna wywarła na nim wstrząsające wrażenie. Piękna, inteligentna, biegła w języku i w dodatku hrabianka! Gdyby tak przywołał ją w charakterze żony do Glasgow, powaliliby wszystkich na kolana.

Przełknął jeść. Opróżnił kolejny kieliszek i

wyciągnął ku dziewczynie swą krzepką, lastrykarską dłoń.

— Kocham cię!
— Nie pęd głupstw! — Poglaskała go czule miękimi, ciepłymi paluszkami.

— Naprawdę cię kocham. Jeśli chcesz, ożenię się z tobą w każdej chwili.

— Pracujesz w tej samej firmie co Christer?

— Tak. Jestem jego zastępcą i współnikiem. Przyjechałem podpisać w Warszawie kontrakt na wykończenie wnętrza dużego, niezaświeconego jeszcze wieżowca, w którym będą jakieś biura podróży, kawiarnie, bary i restauracje.

— Kiedy wracasz?

— Gdzie?

— Do Sztokholmu.

— Za dziesięć — piętnaście dni. Muszę dokonać pewnych pomiarów i obliczeń. Niewykluczone jednak, że za kilka miesięcy wycofam się z interesu i pojadę do kraju. Nie wychodzi mi współpraca z Christerem. To dziwny i cyniczny człowiek. Nie wiem, jak mogła...

— Chii. — Dotknęła mięsistych i wilgotnych warg Jamesa. A co będziesz robił w Szkocji?

— Zawsze mogę pracować u ojca, i też jako boss. On ma fabrykę mebli w Glasgow.

— Nie wolno go zniechęcać — pomyślała. — Krótka wycieczka do Szkocji nie powinna mi zaszkodzić, ale wyjść, to ja za niego nie wyjdę.

Uśmiechnęła się niewinnie i ukluła biedaka po raz czwarty:

— Wspomniałem o jakimś prezencie od Christera.

— Wspomniałem — przyznał ponuro Szkot.

— Co to jest?

— Nic nadzwyczajnego. — Był już nieźle pijany i miał lekkie kłopoty z dykcją.

— Rozumiem. Trzeba cię o ten prezent poprosić.

— Zostawiłem go w pokoju. Wpadniemy zaraz do mnie na górę, to ci dam.

Wszyscy podobni. Wszyscy tacy sami, ci ze Wschodu i ci z Zachodu. Tandeciarze! Wykombinował sobie, bęczał, że zwabił go w ten sposób do łóżka!

Odsłoniła w uśmiechu dwa wspaniałe, równe rzędy zębów:

— Kończymy zatem?

— Yes — przytaknął skwapliwie Szkot; skontrolował na wszelki wypadek, czy w butelce nie zostało przypadkiem trochę wina. — Możemy iść.

— Placimy. — Skinęła na chudzieleca, a ten podsunął w tej samej chwili rachunek. Były to czasy, kiedy można było zjeść w Grandzie kolację za osiem tysięcy. Szkot wlepił wodnisty, nieufny wzrok w upstrzoną cyferkami kartkę papieru. Coś tam liczył poruszając dolną wargą.

Prawa ręka sięgnęła bez przekonania do kieszeni.

Gejsza zdecydowanie otworzyła torebkę:

— Zaczekaj, ja zapłacę.

— Ty?

— A czemuż by nie? — Wręczyła kelnerowi dwanaście tysięcy. — Dziękuję panu.

— To ja pani dziękuję, madame! — Chudy wiedział, że toczy się gra; wiedział, że w żadnym wypadku nie wolno mu przyjąć ani grosza od mężczyzny; wiedział, że ma do czynienia z kobietą o precyzyjnie kalkulującej głowie i silnym charakterze. Wszystko to wiedział, a poza tym, niezależnie od tego wszystkiego, czuł do Gejszy sentyment: — Kiedy znowu będziemy mieli zaszczyt ujrzeć panią, Her Ladyship?

— W najbliższych dniach — powiedziała dziewczę, świetlistym głosem dziewczyna; taki głos łaskocze zmysły mężczyzny jak lekki alkohol. — Do widzenia panu.

— Do widzenia.

— Wait! Wait! — Szkot, w którym zagrało echo polskich genów, zerwał się od stołka.

Chudy wystawił za drzwi głowę i obrócił ją jak teleskop.

— Ugotowany — mruknął odprowadzając wzrokiem Francis Jamesa Molińskiego, który dopadł Gejszę w korytarzu i wyczuwając, że pomyślna na pozór sytuacja gawituje w kierunku nieszczęścia, wykrzykiwał nerwowo:

— Dlaczego ty masz ponosić koszty?! Nie narzekam, chwalić Boga, na brak dolarów, funtów i czeków podróży. Jestem członkiem Diners Club...

— Uspokój się.

— Zobacz! — Otworzył imponujący staromodny pugilares, aby udowodnić dziewczynie swoją bezwzględna wypłacalność. — Nie możesz przecieć, Barbaro...

— Mogę, mogę! Ja też jestem posażna z domu. A poza tym nie będziemy się kłócić o parę groszy. Powiem ci coś po cichu, kochanie; trącisztyle.

— Przepraszam! — Chwycił ją rozpaczliwie, z całej siły za nadgarstek.

Dobijała go spokojnie:

— Take your hand off, boli. Przestań mnie szarpać. Gdzie ty się nauczyłeś takich manier? No, zmykam!

— Nie wejdiesz do mnie? Na moment!
— W żadnym wypadku.
— Są perfumy od Christera.
— Wezmę je innym razem.
— Kiedy? — pytał biagalnie, z gasnącą nadzieją: — Jutro?

— Jutro jest niedziela; muszę poświęcić ją ojcu.

— A ja muszę pojutrze wracać do Warszawy. — Czarna lśniaka brew pad lewym okiem opadła załobnie, w kątku prawego oka pojawiły się łzy. Kap, kap! Podjeżdżały do rozświetlonej wżruszenia dziurki w nosie i padały na marmurową posadzkę. — Będę mógł przyjechać tutaj dopiero w przyszły weekend.

— No to wspaniale się składa. Przyjeżdżesz, zadzwonisz i zjemy u mnie spokojną domową kolację.

Czarna brew odskoczyła na swoje miejsce.

— U ciebie?

— Tak.

— A ojciec?

— Nie będzie ojca.

Pocałowała go w mokry policzek i wyszła.

Poddany Jej Królewskiej Mości westchnął głęboko i zaczął piąć się po wyłożonych chodnikami schodach na pierwsze piętro hotelu. Zaczęła muzyka w Malinowej; sztorom ustąpił. Nadzieja podnosiła zuchwałe łeb.

8.

Gustaw M. alias Kopyto przystał na propozycję Bernarda z prozaicznych powodów. Otóż jego krzepka trzydziestokilkuletnia małżonka chodząca z brzuchem i przebąkiwała nieśmiało, że przed przyjściem dziecka na świat należałoby dokonać w mieszkaniu pewnych zmian — odremontować albo nawet położyć tapety, zrobić coś z tą cholerną ubikacją i łazienką, bo skoro jeżeli tatuś mógł sobie pozwolić w Probuszowie pod Zgierzem na kafelki i tarakotę, to ona nie chce być gorsza ani od tatusia, ani od tych wszystkich sakramyńskich łódzkich małpów, co to żyją w luksusach, kapiają się w ciepłej wodzie, a wieczorami bierze jedną z drugą wywczas przed kolorowym telewizorem. Mają nie tylko elektrołuksa, nie tylko lodówki i pralki, ale nawet zamrażarki, w tych zamrażarkach natomiast rzadko się trafi jakiś gną, podczas gdy tatuś mógłby im spokojnie dostarczyć tonę mięcha.

Równie nieśmiało zakomunikowała żona Gustawowi, że skoro jeżeli jest w ciąży, to nie powinna chyba od jesieni palić w piecach. U tych małpów nie używa się węgla. Te małpy posiadają piece akumulacyjne albo miejscowe ogrzewanie centralne czy też różne urządzenia na prąd, od których strzelają korki, a rachunki za światło, to ta kurwa, co wywija z Niemcami, płaci strasznie!

C.D.N.

— Czy film polski jest anachroniczny?

— Odpowiem na to inaczej. Jest wielu ludzi, którzy żyją w samozakamieniu, nie zdając sobie sprawy, że Polska w ogóle jest prowincją. Pochodne tego poglądu tyczą życia, sztuki, także i filmu. Anachronizm to może za mocne słowo, ale na pewno mamy do czynienia z zaślankiem.

— Czy film należy odnieść do rzeczywistości? Czy to jest podstawowy warunek jego istnienia?

— Nie, wręcz odwrotnie. Gdyby tak było, wszelka sztuka stałaby się niepotrzebna. Każde dzieło rzadzi się własnymi prawami. Film nie jest odbiciem rzeczywistości, nie jest jego krzywym zwierciadłem. Film wyrasta z rzeczywistości, mówiąc przelotnie. A tak na marginesie, to nie traktuję filmu jako sztuki.

— Czym wobec tego jest film, jeśli nie sztuka?

— Zapomnieliśmy wszyscy, jak to się zaczęło. Kino, kinematograf, zwal się kiedyś nikolodeo-

zany, może dlatego, że był pierw-

— W czym upatruje pan słabość polskiego filmu kryminalnego, który poza nielicznymi wyjątkami prezentuje istotnie dość mi-

— Upatruję tę słabość w pewnych skostniałych strukturach, np. rzadzi — rzadzi. Dlaczego w Polsce nie powstał nigdy wspaniały film o wojsku? Abstrahuje już od tego, czy wojsko w ogóle jest potrzebne — pacyfizm szerzy się coraz bardziej, dochodzimy do wniosku, że wojsko kosztuje nas straszne pieniądze i sprzeciwiamy się tym wydatkom — proszę spojrzeć na to obiektywnie: trudno znaleźć coś bardziej fotograficznego, niż wojsko. Groźne maszyny, duża grupa młodych ludzi, to wszystko jest niezwykle filmowe. Ale powstał stereotyp, że żołnierz nie pali, nie pije, nie zachowuje się po męsku wobec dziewczyny, tylko musi to być od razu coś bardzo lirycznego i grzeczności, żołnierz nie przeklina, jest zawsze szlachetny. A to jest obraz w filmie, który z natury posługuje się konfliktem, z gruntu nieprawdziwy. To samo dzie-

ciu ma posmak pastiszu, i nie można mieszać w nim konwencji.

— Powiedział pan kiedyś, że lubi pan robić takie filmy, jakie sam pan lubi oglądać. A jakie filmy lubi pan oglądać?

— Kończyłem Szkołę Filmową razem z Zanussi, czy np. Edwardem Żebrowskim, dostaliśmy się na studia jako dwudziestolatek, byłem najmłodszy i ulegałem wpływom silnej formacji intelektualnej, którą ci ludzie tworzyli. Dużo i intensywnie czytałem, żeby ich dogonić w wiedzy książkowej. Miałem wspaniałych pedagogów, ale wyszedłem ze szkoły nie przygotowany do tego, co będę robił później, bo to było wbrew mojemu temperamentowi. Z jakiego powodu? Otóż moje życie tak się ułożyło, że spędzam je głównie wśród kobiet, z mężczyznami rzadko mam do czynienia. A kobiety lagodzą obyczajem, inaczej myślą i czują, i filmy, które lubię oglądać, i które sam chciałbym robić stanowią chyba pewnego rodzaju odtrutkę na ten rodzaj zniewieśnienia, który mi towarzyszy na co dzień. Czuję się trochę zawstydzony, bo dziennikarzy nie powinno się mówić



Masz temat dla reportera?
Coś ci drażni, niepokoi,
szlag cię trafia — podnieś
słuchawkę i wykręć numer: 56-77-70

Poglądy, opinie i fakty przedstawiamy w relacji z reporterskiego dyżuru wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników, którzy przekazali je nam telefonicznie. Rubryka ta funkcjonuje na zasadzie wzajemnego zaufania. Daje ona naszym Czytelnikom możliwość przekazania opinii publicznej spraw, które utrudniają im życie.

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

6 kwietnia — BOGDA MADEJ — godzina 10—15.

13 kwietnia — ANDRZEJ GĘBAROWSKI — godzina 10—15.

RELACJA Z REPORTERSKIEGO DYŻURU
W DNIU 30 MARCA 1989 R.

Masa telefonów, w sprawach blahych jak i zaturawających nam wszystkim życie w cywilizowanym kraju u progu XX wieku. I pełna chyba gama Czytelników: od tych, którzy wierzą niezłomnie, że „redaktor wszystko potrafi”, tych, którzy jeszcze chcą coś zmienić, do życiowych malcontentów a także wyznawców pięknej zasady „To musi się rozlecieć”.

Pan Karol Zieliński zauważył, iż coraz większa ilość samochodów „garażuje” na terenie parku im. H. Sienkiewicza od strony ulicy Kilińskiego. Ustawiony jest tam znak zakazu wjazdu, ale nasz Czytelnik twierdzi, że dla poszerzenia miejsca na parkowanie został on po prostu... przestawiony.

Pan Roman Klemba zapytał nas natomiast, kto wpadł na szatański pomysł wysypania alejek w parku im. Poniatowskiego sypkim żywirem czy szlakiem, której skutecznie grzeźnią rodzice wraz z wózkami i pociechami. Też byśmy chcieli znać odpowiedź na to pytanie. Podobnie jak na inne bulwersujące pana Romana pytania: czy ktoś spróbuje się uporać z plagą niczyich, waleśających się po parkach psów?...

Mieszkańcy osiedla „Piastowskie” apelują za naszym pośrednictwem (a głosem pani Ireny A.) o utworzenie przystanków autobusów linii 52, 61 i 69 przy ulicy Tużyńskiej. Czy będzie to możliwe? Czekamy na odpowiedź z MPK.

Doktor Maria Czernastek ze szpitala im. Barlickiego chciała by wiedzieć dlaczego firma pod nazwą „Pocztą” nie dostarcza w terminie korespondencji. Szanowna pani doktor! Wiemy tylko że strajki się skończyły, co nie jest równoznaczne z natychmiastowym przyznaniem tej firmie Nagrody Nobla za terminowość i bardziej wydajną pracę...

Pan Czesław Makowski boleje

nad ceną... ślusarskich pilników (średnio a 230 złotych sztuka), zbyt rozrzuconym pakowaniem tychże przez Bedzińską Fabrykę Pilników „Vis” a także sporadycznym podawaniem w radiowym dzienniku prognozy dla Łodzi... Panie Czesławie: dużo zdrowia i tylko takich dylematów!

Panom: Krzysztofowi Ślodzińskiemu, Adamowi Iwińskiemu i Henrykowi Krainie, z którymi na temat „benzynowego cyrku” przegadałem chyba z półtorej godziny, odpowiadam, że jednym zamachem: panowie, ja nie wiem, czy to dyrekcja OPN „dotuże” paliwo, by je potem sprzedawać po wyższej cenie, czy to wyłącznie przerażeni kierowcy tankują (jeszcze po starej cenie) w butelki, konwie i puste akwarie. Wiem jedno: to kompletne wariactwo wystawać godzinami przed dystrybutorem. Jeśli, rzecz jasna, autentycznie nie muszę. Sam dziś przybyłem do pracy autobuskiem, a gdy te słowa ukażą się w druku sądzę, że sytuacja wróci do normy. Po nowych cenach, ma się rozumieć...

Bez komentarza pozostawiam natomiast tekst jaki wygłosił mi do ucha stary znajomy z katowickiego ośrodka TV — Janusz Skrzeciński, który wielokrotnie wizytę w naszym mieście tak skwitował: — Stary, co wy w tym miasteczku wyprawiacie? Płatanina jednokierunkowych uliczek w centrum — to wasza sprawa. Akurat w święta musielicie kolejną rewolucję komunikacyjną przeprowadzić? No, ale niech tam. Tylko dlaczego nie przyszło stosownym władzom do głowy, że trzeba oprócz „blach” na słupach także jeździć stosownie wymalować? Na tej Sienkiewicza jeden synek by mnie prawie zabił — „pod prąd” wjechał...

A poza tym? Jeszcze pani Halina Stachera ponarzekła na kiepskie zaopatrzenie Zgierza w serki homogenizowane, kefir i jogurt, głębokie przekopy w rejonie skrzyżowania ulicy Parzewskiej i Buczka a także brak połączenia „czerwonymi” liniami z oddalonym zaledwie o 6 kilometrów Aleksandrowem. Zasugerowała też, że może by tak...

pewnie nieopłacalna dla MPK linie, oddać w agencję...

Pan Bogdan Fogel ubolewał nad niszczeniem trawników przez kierowców przyjeżdżających do Teatru Wielkiego i parkujących na czas trwania spektakli swe pojazdy dosłownie gdzie popadnie.

O trwającej dopiero kilka miesięcy „wojnie” lokatorów ze spółdzielnią „Osiedle Młodych” poinformował mnie pan Zbigniew Łuczak. Otóż w drugiej klatce bloku nr 106 przy ulicy Wapiennej 45/47 powiększono wydatnie metraż kilku mieszkań, przenosząc między innymi ściany na półpiętra. Wywołało to zburzenie sprzeciw dwudziestu kilku rodzin, które postawiło przed faktem dokonanym, czyli nowymi ścianami działowymi wewnątrz korytarzy i koniecznością biegnięcia z wiaderek śmieci po półpiętrach. Nowatorskie podjęcie władz spółdzielni — według zapewnień Czytelnika — może zakończyć się nawet rozprawą sądową. Ano, zobaczmy...

Swą drobną „cegiełkę” do sztańdowego polskiego problemu — skupu butelek dołożył pan Marek Kłyszewski, któremu małych butelek po świetnym łódzkim piwie nie przyjęto nawet w „browarnianym” sklepie przy ulicy Orlej. Pan Marek, zamieszkały przy ulicy Łagiewnickiej 102/106 nie może się też od ponad roku doprosić, by po naprawie zasilania w energię elektryczną nie zjawił się w mieszkaniu fachowiec i po raz drugi zaplombował licznik. Chyba Zakładowi Energetycznemu na tym nie zależy. Chyba tak...

Z bardzo poważną i niezmierznie rzadko poruszaną na łamach gazety sprawą zatelefonowała pani Irena Kowalczyk. Jak sama stwierdziła — jej życie dobiega kresu, jest samotna, ale, co podkreślała, nie — osamotniona, ani pozbawiona opieki czy materialnych warunków godnego życia. — Bardzo nam natomiast zależy — przekonywała — to znaczy mnie i gronu około 50 znajomych, również starych, na godnej śmierci. — Nie chcemy umierać zapomniani przez wszystkich, wywołani później ukradkiem w plastikowych workach... — Kto nas pochowa? My przeżyliśmy mamy mieszkanki; mamy często duże oszczędności. Chcielibyśmy móc jeszcze za życia uregulować godnie te sprawy, a wszyscy jesteśmy za kremacją zwłok. Tylko jaka instytucja może nam pomóc?...

DARIUSZ
DOROŻYŃSKI

„Kryminal to same kłopoty...”

— rozmowa z WOJCIECHEM WÓJCIKIEM.

nem. Ktoś, kogo nie było stać na operę czy teatr na Broadwayu, szedł oglądać te ruchome obrazy. Z czasem doskonalono coraz bardziej technikę filmu, została wypracowana wreszcie forma opowieści przy pomocy obrazów, uzupełniona dźwiękiem. Film w moim najgłębszym przekonaniu, jest przede wszystkim spektaklem, widowiskiem, godziną marzeń, spełniających się na ekranie. Film może być czasem sztuką. Tylko że u nas wykształcił się podział na kino popularne, i kino artystyczne, a ja nie mogę tego zrozumieć. Tera ja zadam panu pytanie: czy „Pożegnanie z Afryką” albo „Dawno temu w Ameryce”, to jest kino popularne czy artystyczne? Nie umiem na to odpowiedzieć. Przecież oba te filmy, mogą być oglądane wiele razy, zawsze widzę nowe podteksty nowe sprawy, a jednocześnie nie jestem jedynym widzem w fotelu, dlatego że są to filmy oglądane. To jest podstawowy problem. Jeżeli jest film, a kino jest puste, to znaczy, że nie ma filmu. Jeśli natomiast choć połowa foteli jest zajęta, mamy już do czynienia z widowiskiem — jest nadawca, i odbiorca.

— Pierwszym pana filmem było „Okno” według Iredyńskiego, film poetycki. Później zaczął pan robić filmy o sensacyjno-kryminalnej fabule. Jak dokonał się ten skok tematyczny?

— Przyczyny są bardzo prozaiczne. „Okno” nie spełniło jakichkolwiek wymagań mojej kariery filmowej, a to ze względu na specyficzną technikę debiutu w naszym kraju. Debiut nie mógł być nigdy filmem — wróćmy do tych nieszczerzonych porównań — popularnym. Zawsze musiał być to film tzw. ambitny, z trzecim i czwartym dnem, który miałby udowodnić, że reżyser poza sprawnością warsztatową ma jeszcze w zanadrzu coś więcej. Nie bardziej biednego i gorszego, bo w ten sposób na początku drogi od razu przetwarzano charakter. Ktoś lubił lody, a kazano mu jeść zupę. Były to czasy, w których musiałem ten warunek spełnić, nie mogłem nakręcić takiego filmu jak bym chciał, sięgnąłem więc po Iredyńskiego ze względu na dobrą znajomość jego twórczości i wieloletnią przysiażność z autorem. Chciałem jednak dolażyć do tego jeszcze element pewnej „rewolucji” — o czym zresztą film o takich warunkach? O niemożności twórcy. Mimo wszelkie łubie ten film i jestem do niego przywiązany.

się w przypadku filmu kryminalnego. Jeśli znowu mamy pokazać kryzysowego policjanta i złego złodzieja, to tworzymy pewien stereotyp, którego widź nie toleruje i nie lubi. Dlatego Kochamy „Bullita”, dlatego kochamy „Bullita”, dlatego kochamy „Bullita”? Bo to są ludzie ulomni, obdarzeni namiętnościami, częściej popełniający błędstwa w imię wyższych celów. U nas długo nie było wolno kręcić takich filmów. Pierwszy zerwał z tą tradycją Marek Piwowski („Przepraszam, że tu biją”, — przyp. M.S.). Nieuważadł na strach ówczesnych decydentów kulturalnych był tak wielki, że oni chcieli ten film zamknąć na cztery spusty; to MSW powiedziało, że film może być dopuszczony do rozpowszechniania. Ale i tak reżyserzy uważali, że kryminal to same kłopoty. Poza tym nie ma u nas tradycji takich filmów, w związku z tym są one nielubiane, a jak są nielubiane, to są słabe. Tutaj tylko próby łobosławie mogą przeżyć w jakości.

— Jak sprzedają się pana filmy zagranicą?

— Nie uwierzy pan, ale nie mam o tym pojęcia, bo nikt mnie nie informuje. Przez przypadek dowiedziałem się, że „Karate po polsku” widziano w Izraelu, w Danii, na Węgrzech, w Hiszpanii. Nie żyję w wieży z kości słoniowej i śledzę losy swoich filmów w miarę możliwości, ale nie umiem zabiegać o to, jak nie którzy moi koledzy, żeby te filmy wszędzie pokazywano, ponieważ uważam to za rzecz, no, trochę niemiłą.

— Gdyby swój ostatni film, „Trójkąt bermudzki”, realizował pan w latach 60., kto objąłby rolę Peszka, Kociniaka i Pietraszaka?

— Byliby to pewnie: Marian Opania, Daniel Olbrychski, Janek Englert.

— Aktorzy odwarzający główne role w „Trójkącie bermudzki” są widzowi raczej znani jako aktorzy komediowi, a w pana filmie grają zbrodniarzy. Ten wybór nie mógł zatem być przypadkowy?

— Jest dokładnie tak, jak pan mówił, był całkiem nieprzypadkowy. Gdyby widownia kojarzyła noleń aktorów z czymś ponurym, czymś strasznie serio ten film wybył nie do wytrzymania, choć tak nie wiem, czy wytrzymania wobec ekranu. Ale mam nadzieję, że tak. Ten film w moim przekonaniu.

MACIEJ
ŚWIERKOCKI

Pragniemy zwrócić uwagę na duński film pt. „Uczta Babette” (wysławiany w ramach „Konfrontacji”). Reżyserem filmu zrealizowanego według powieści Karen Blixen, autorki „Pożegnania z Afryką” jest Gabriel Axel. Jest to opowieść o uciekinierce z Paryża, która trafia w surowy luterński świat duńskiej społeczności. Przyjęcie, które wydaje na wzór francuski ma na celu pogodzenie zgorzkniałych i skłóconych rybaków z okolicznej wioski. Sekwencja tytułowej uczty ma niewiele wspólnego z ekscytacją „Wielkiego żarcia” znacznie więcej z atmosferą mistycznej wieczery. Obraz jest przepojony ciepłym, delikatnym humorem oraz wysoką kulturą realizacji samego tematu. („Oscar” ’88 dla najlepszego filmu zagranicznego).

A może do kina?



PRZEDSIĘBIORSTWO USŁUGOWO-HANDLOWE

„D O R M E T”

sp. z o.o. w Radomiu, ul. Czwartaków 6

— SKLEP METALOWY NR 1

posiada w sprzedaży:

- ◀ SRUBY RÓŻNE
- ◀ NAKRĘTKI OD M-3 DO M-30
- ◀ PODKŁADKI ZWYKŁE
- ◀ GWOZDZIE
- ◀ WKRETY DO DREWNA
- ◀ WKRETY DO METALU
- ◀ ZŁĄCZKA HYDRAULICZNE MOSIĘŻNE: KOLANKA, TROJNIKI I MUFKI 3/8 i 1/2.

Zamówienie prosimy składać pod ww. adresem lub telefonicznie pod nr 31-26-87.

Na kolumnie „Polemiki — listy — opinie” publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu. Wszelkie dane na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawiane w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.

PIECHOTA, TA SZARA...

Z ciekawością przeczytałem artykuł Lucjusza Włodkowskiego „Piechota, ta szara piechota” (patrz „Odgłosy” Nr 11 z dn. 12.III. br.) poruszający (jak się domyślam) wieloletnią historię Armii „Łódź”. Nie chce być „prorokiem” i nie znając celów autora, pragnę tylko podać informacje, które są w moim posiadaniu. Od dwudziestu lat gromadzę i publikuję materiały mówiące o działalności harcerzy w kampanii 1939 r. Są one zbierane z historią Armii „Łódź” gdyż dotyczyła prac Chorągwi Łódzkiej ZHP na terenach naszego województwa wg. granic administracyjnych z 1939 r. Armia „Łódź” po kilkakrotnych zmianach stanów osobowych, z których najważniejszą była decyzja o utworzeniu armii „Karpaci” po zajęciu Czechosłowacji przez Niemców ostatecznie liczyła cztery dywizje piechoty (2, 10, 28 i 30) dwie brygady kawalerii (Wolynska i Kresowa) oraz jednostki armijne w tym 301 bat. czołgów lekkich.

Jednostki te działały w następujących składach:
— 2 Dywizja Piechoty Legionów z Kielc (dowódca płk. E. Dojań-Surówka) — 2 pleg (Sandomierz), 3 pleg (Jarosław) 4 pleg (Kielce) oraz 4 PAL (Kielce).
— 10 Kaniowska DP (Łódź) — 28 p strzelców Kaniowskich (Łódź) 30 p. strzelców Kaniowskich (Warszawa), 31 p strzelców Kaniowskich (Łódź, Sieradz) i 10 Kaniowski PAL (Łódź).
— 28 Warszawska DP — 15 pp Wilków (Dęblin), 36 p. Legii Akademickiej (Warszawa) 72 pp im. Dionizego Czachowskiego (Radom) i 28 PAL (Warszawa).
— 30 Polska Dyw. Piechoty z Brześcia n/Bugiem — 82 pp. pp. (Brześć) n/B., 83 pp. (Kobryń), 84 pp. (Łuniniec) i 30 PAL (Brześć n/Bug).
— Wolynska BK — 12 puł (Krzemień Podolski), 19 puł. Nadwiślański (Ostróg), 21 puł. (Równe), 2 p. str. Konnych (Hrubieszów) i 2 Dyw. Art. Konnej (Dubno).
— Kresowa BK — 20 puł. (Rzeszów), 22 puł. (Brody), 6 p. str. Kon. i 13 DAK.

Z terenu DOK IV Łódź do armii włączono też 10 bat. pan. ze Zgierz i 4 PAC (Łódź, Tomaszów Maz.).

Organizowano też 44 DP Rez. w składzie 144 pp. rez. (Łowicz, Kutno) 145 pp. rez. (Sieradź) 146 pp. rez. (Piotrków) oraz 54 PAL. Mobilizacji tej jednak nie ukończono, a poszczególne pododdziały 144 pp. rez. uczestniczyły w obronie Warszawy.

W roku 1968/69 działając w hufcu ZHP Łódź-Sródmieście byłem współorganizatorem wystawy „Na tropach łódzkiego września”, poświęconej pamięci 30 rocznicy działania Armii „Łódź” i „Pomaz”. Na zorganizowanej w lokalu Kom. Hufca wystawie ekspozycyjnej oryginalne dokumenty i kserokopie omawiające działalność tych dwóch armii na terenie woj. łódzkiego (wg stanu w granicach administracyjnych z lutego 1939 r.). Wśród eksponatów znalazły się helmy, szable ułanckie, legitymacje, odznaczenia i medale, odznaki pułkowe, a nawet oryginalny pocisk z polskiego działka przeciwpancernego Boforsa 37 mm. Otrzymałem też pamiątkę żołnierza września król Jana Czapli z 12 puł. podolskiego, który był działaczem (dowódcą) działka przeciwpancernego Boforsa 37 mm w bitwie pod Mokraj rozegranej 1 września 1939 r. pomiędzy Wolynską Brygadą Kawalerii a jednostkami 4 niemieckiej dywizji pancernej na polach pod tą wsią. W r. 1962 w ramach zorganizowanego seminarium w Działoszyne odwiedziłem z żołnierzami Wolynskiej Brygady Kawalerii pole bitwy pod tą wsią, gdzie miejscowi starzy gospodarze opowiadali i pokazywali miejsce, gdzie białoni niemieckiej czołg. Wyciekająca z czołga ropa spaliła pod nim ziemię, tak że po trzydziestu latach nie mogło tam rosnąć zboże. W korytarzu budynku szkolnego w Mokrej widzieliśmy obraz czeskosłowackiego artysty przedstawiający atak niemieckich czołgów na baterię 2 DAK. Czołgi płonęły, a bateria była w nie salwami.

Jan Czapla wraz ze swoim działem brał udział w walkach odwrotowych pułku pod miejscowością Ostrowy, Wołą Krzysztoporską Tuszyńską, Krzeszowem, Wołą Rakową, Mszczonowem, docierając do Warszawy. Potem bit się pod Mińskiem Maz. aby ponownie bronić Palmir i Warszawy. Po kapitulacji powrócił do swojej wsi rodzinnej w okolicach Bychawy gdzie brał udział w konspiracji (AK). Po zakończeniu wystawy pamiątki Jana Czapli został przekazany do Muzeum m. Łodzi. W nawiasie muszę jeszcze dodać, że 12 puł. podolski został odtworzony w II korpusie Polskim na Zachodzie i brał udział w bitwie o Monte Cassino, gdzie na górze klasztornej w ruinach ułani zatknęli niołocze bójki swojego pułku. Żołnierze Wolynskiej Brygady Kawalerii chlubnie zapisałi swój udział w działaniach II wojny. W pierwszej brygadzie Kawalerii LWP służyło wielu kawalerzystów 19 i 21 puł. oraz 2 p. konnych. Wielu żołnierzy i oficerów 12 puł. brało udział w Powstaniu Warszawskim, czego dowodem jest tablica, poświęcona poległym z tego pułku, znajdująca się w jednym z kościołów warszawskich.

Autor artykułu podaje też w wykazie broni polskiej rkmę rodzimej produkcji w licencji Browninga. Była to dobra broń, zwana w potocznym języku żołnierskim „szczeniackami”. Niektóre egzemplarze tej broni odkopane podczas okupacji w lasach przysuskich i kieleckich zdały doskonale egzamin służyć swoją niezawodną działalnością w szeregach 25 pp AK Ziemi Piotrkowsko-Opatowskiej i 72 pp. AK im. Dionizego Czachowskiego Ziemi Radomskiej, biorąc udział w wielu bitwach i potyczkach tych jednostek. Działalność harcerzy, na rzecz Armii „Łódź” w 1939 r. wymaga specjalnych opracowań. Posiadam 33-str. pracę pt. „Straty harcerstwa łódzkiego w wojnie obronnej 1939 r.”, która wyjaśnia wiele spraw o działalności na korzyść tej armii oraz jej zaplecze, a zamyka się listą 43 poległych i 14 rannych harcerzy we wrześniu 1939 r.

MIECZYSLAW KOZAK

Serdecznie dziękuję za zainteresowanie się moim artykułem i drobne uzupełnienia, ale jednocześnie muszę wyjaśnić kilka nieścisłości.

1. Dotyczy one składu 30 DP. Jak podają autorzy opracowania „Wojsko Polskie 1939-1945 Barwa i broń” nazwy pułków wchodzących w skład tej dywizji brzmiały nieco inaczej. I tak:
— 82 Syberyjski pułk strzelców im. Tadeusza Kościuszki,
— 83 pułk Strzelców Polesskich im. Romualda Traugutta,
— 84 pułk Strzelców Polesskich.

2. Dotyczy składu Wolynskiej Brygady Kawalerii. Tu powołuję się na książkę Cezarego Leżńskiego „Zostały tylko ślady podków...”. W skład WBK istotnie wchodził 12 pułk ułanów. Tyle tylko, że jego pełna nazwa brzmiała: 12 pułk Ułanów Podolskich i stacjonował w Białokrynicy, a nie jak podaje autor listu w Krzemieniu Podolskim. Po pierwsze Krzemieniec leży na Wołyniu, a Kamieniec Podolski na Podolu. Są to dwie różne miejscowości.

Natomiast 19 pułk Ułanów nosił miano Wołyńskich im. gen. Edmunda Różyckiego i stacjonował w Ostrogu. W Równem stacjonował 21 pułk Ułanów Nadwiślańskich.

3. W składzie Kresowej Brygady Kawalerii poza 20 pułkiem ułanów z Rzeszowa był 22 pułk Ułanów Podkarpaccich (Brody), 6 pułk Strzelców Konnych (Zółkiew) i sformowany na czas wojny z 6 szwadronów KOP i pułk Kawalerii Korpusu Ochrony Pogranicza, 13 dywizjon artylerii konnej stacjonował w Brodach. Pełne składy obu Brygad Kawalerii podałem w artykule: „Ułani, ułani, malowane dzieci...”

4. 44 DP (rezerwowa) miała być sformowana w 12 dniu wojny i wejść w skład Armii „Łódź”.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

NIE BĘDZIE DRUKU POWIEŚCI JERZEGO URBANKIEWICZA „WOKUTA — ZIEMIA ZAPOMNIANA PRZEZ BOGA”

Przed kilku dniami otrzymałem list następującej treści:

Szanowny Panie Redaktorze,
Pierwszy rozdział mojej książki „Konwój użyje broni”, który, pocięty bez ładu i kładu, a następnie posklejany na cnybii trafił, zamieścił Pan w Nr 13 „Odgłosów”, został w roku 1983 wyróżniony najwyższą nagrodą w konkursie literackim „Znak” i „Tygozniku Powszechnego”. Krytycy — członkowie jury orzekli, że najlepszym fragmentem mego utworu jest ten, w którym Zorka snuje rozważania na temat lagrowego autorytetu. Rozważania te grają w utworze rolę zasniciacz, wyjaśniają bowiem, dlaczego Zorka przybił sobie język do parapeetu. Bez nich utwór traci sens. A właśnie one zostały w druku pominięte.

W naszym rozmowie telefonicznej wyraziłem zgodę na drukowanie fragmentów, ale nie wyraziłem zgody na ingerencję w tekst, a tych dokonano kilka, zniekształcając treść i wprowadzając błędy stylistyczne. Toteż nie zgadzam się na dalsze drukowanie mego książki na łamach „Odgłosów” i proszę o niezwłoczny zwrot maszynopisów (teczka + luźne 4 rozdziały).

Mam nadzieję, że na łamach „Odgłosów” da Pan wyraz swojemu stosunkowi do podobnego potraktowania autora.

Z poważaniem

JERZY URBANKIEWICZ

Jest to już drugi list, w którym Jerzy Urbankiewicz rezygnuje z druku fragmentów swej powieści na łamach „Odgłosów”. Po pierwszym liście — w rozmowie telefonicznej — wyjaśniłem powody zwłoki. Zgodnie z naszą tradycją zasygnalizowaliśmy w numerze świątecznym początek powieści, co spotkało się z zainteresowaniem Czytelników.

Drukowany powyżej list stawia sprawę jednoznacznie. Z przykrością więc zawiadamiam Czytelników „Odgłosów”, że w 16 numerze pisma — jak planowaliśmy — nie znajdziemy już dalszego ciągu obszernych fragmentów powieści Jerzego Urbankiewicza. Szkoda.

Jeśli chodzi natomiast o „potraktowanie autora”, to — po pierwsze — uzyskałem zgodę na wybór fragmentów, co już jest ingerencją w tekst. Po drugie — na zmianę tytułu. Po trzecie natomiast — powieść drukowana we fragmentach w tygodniku musi się różnić nieco innymi prawami niż powieść publikowana w książce. W tygodniku niezbędne jest zachowanie szybkiej akcji, niekiedy kosztem miłych sercu autora szerszych rozważań. Staramy się redagować pismo przede wszystkim z myślą o Czytelniku, a nie tylko o zadowoleniu autora. Proszę jednak tego nie rozumieć jako lekceważenia praw autora. Przeciwnie. Jeśli tekst nam nie odpowiada — nie publikujemy. W tym wypadku wydawało się, że obie strony będą zadowolone. Przyszło mi, że stało się inaczej.

W tej sytuacji nie pozostaje mi nic innego, jak przeprosić zawiędzonych Czytelników i zawiędzonego Autora.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

GIOACCHINO ROSSINI NIE PRZESTAŁ KOMPONOWAĆ W 1829 ROKU

W wydanej przed niedawnym czasem książce pt. „Mówi obrońca...” (Warszawa, Wydawnictwo Prawnicze, 1988), jej autor Henryk Nowogrodzki na s. 123 napisał:

„W latach 1782-1868 żył i tworzył wielki kompozytor włoski Antonio Rossini. Tworzył znacznie krócej niż żył. Podzielił los wielkich współczesnych twórców i kompozytorów, którzy uzyskali uznanie po śmierci. Po złym przyjęciu ostatniej opery — było to lata 1826-1829 — zaprzestał kompozycji. Zmarł 40 lat później”.

Jako że książka ukazała się w nakładzie 17 tys. egzemplarzy, należy sprostować ewidentne błędy jej zacytowanego fragmentu.

Rossini używał imienia „Gioacchino” i takie imię figuruje na jego nagrobku. Na chrzcie nadano mu imiona „Gioacchino Antonio”. Za życia uzyskał ogromną sławę, szczególnie od paryskiego wystawienia „Cyrułika sewilskiego” w 1819 r. — W latach 1826-1829 Rossini napisał (skomponował) swe cztery ostatnie opery. Oto one:

„Obłęd Koryntu”. Wystawiona została dnia 9 października 1828 r. w Paryżu. „Premiera”. Zakończyła się pełnym sukcesem i burzliwą demonstracją na rzecz walczącej Grecji — napisał polski biograf Rossiniego Włodzisław Sanderewski w książce „Rossini”, Kraków 1968, s. 202.

„Mojżesz i Faraon czyli przejście przez Morze Czerwone” została wystawiona w Paryżu w dniu 27 marca 1827 r. „... przyniosła Rossiniemu triumf” napisał tenże Włodzisław Sanderewski. „Hrabia Ory” wystawiona była po raz pierwszy dnia 20 sierpnia 1828 w Paryżu. Spektakl „wywołał” entuzjazm widzów.

W ciągu trzech najbliższych lat osiągnął w samym tylko Paryżu sto przedstawień i przez kilkadziesiąt lat znajdował się stale w repertuarze scen francuskich. Podobną furorę zrobił za granicą...

Ostatnią operą Rossiniego był „Wilhelm Tell”. Premiera miała miejsce w Paryżu w dniu 3 sierpnia 1829 r. „Opera wzbudziła entuzjazm muzyków i wytrawnych melomanów, lecz szeroka publiczność przyjęła ją dość chłodno”. Tak napisał Włodzisław Sanderewski. Muzyka tej ostatniej opery Rossiniego uznawana jest za arcydzieło.

Włodzisław Sanderewski napisał jeszcze: „Dzieje nie znają drugiego wypadku, aby kompozytor, mając zaledwie 37 lat, w pełni sławy i powodzenia, dobrowolnie wycofał się z czynnego życia muzycznego i zrezygnował z uprawiania rodzaju twórczości, który najbardziej odpowiadał jego powołaniu i był kamieniem węgielnym jego chwały”. Analogicznie podane jest i w innych biografach Rossiniego. A więc nie było tak jak napisał Henryk Nowogrodzki.

Po 1829 r. Rossini zaprzestał komponowania oper. I to było jego „wielkie milczenie”. Nie zaprzestał natomiast komponowania. Lista jego kompozycji po 1829 r. obejmuje ponad 200 pozycji. Podane są w cytowanej książce Włodzisława Sanderewskiego na stronach 354-361. Wymienię wśród nich „Małą mszę uroczystą” (La Petite Messe Solennelle) wykonaną po raz pierwszy w Paryżu 14 marca 1864 rku. Nazwana ona została „małą” chociaż trwa 88 minut, a więc w istocie rzeczy jest „wielką”, skomponowaną na duży aparat wykonawczy (cztery soliści, fortepian, organy, chór). Ubocznie zauważę, że jest u nas dostępna na ta msza w świetnym nagraniu radzieckim (album dwupłytyowy „Melodia”).

O sławie Rossiniego już w 1823 r. niech świadczy pierwsze słowa przedmowy Stendhala do książki jego o tym kompozytorze, obejmującej włoski okres życia Rossiniego: „Po śmierci Napoleona pojawił się inny człowiek, o którym mówi się tak w Moskwie jak i w Neapolu, tak w Londynie jak i w Wiedniu, tak w Paryżu jak w Kalkucie”. Taką była sława Gioacchino Rossiniego, gdy miał 31 lat! Tak ją w jednym zdaniu określił genialny pisarz — Stendhal!

LESZEK ŚLUGOCKI

KTO SIĘ CZEGO BOI?

Z ciekawością przeczytałem artykuł p. Bogdy Madej w „Odgłosach” nr 7/89, w którym opisuje sprawy związane z nie chęcią decentralizacji. I stawia tezę, że obawy spowodowane są strachem przed nowym.

Tak jest, podpisuję się pod tym obydwojema rękami. Ale tezę tę, czy wniosek — rozwijam.

Co to jest rada narodowa? To zespół ludzi wybranych — no mniejsza jak, nie chcę nikogo urazić, może rzeczywiście coś się zmieniło. Mogą mieć oni jak najlepsze chęci i podejmować słusne uchwały. Ale rzecz nie w uchwałach, lecz w aparacie wykonawczym.

I tu śmiem twierdzić, że ogół tegoż aparatu (znów nie chcę nikogo personalnie urazić) myśli po staremu, zachowuje się po staremu i nie się nie zmienia, dopóki nie zmieni się ten aparat. Wszystkie komunikaty i oświadczenia na temat „zmiany stylu pracy”, zerwania z „biurokracją” etc. są czczym słowem. Ale czy aparat administracji, urzędniczy ma szansę się zmienić? Wątpię. Dlaczego?

Gdyby klan urzędniczy był powołany tylko dla pilnowania administracyjnych spraw państwa — byłaby szansa. Jeśli jednak rzecz w gospodarowaniu, to proszę mi wskazać człowieka, który mając zapewnione pobory na określonym (ostatecznie najgorszym) poziomie, zechce podejmować jakiegokolwiek decyzje?

Prawo i przepisy mają do siebie, że można je interpretować. Niestety — różnie, bo nie zawsze projektodawca wie, czego chciał. Wykonawca (tętnie urzędnik) ma do wyboru decyzję na „tak” lub na „nie”. Śmiem twierdzić, że w większości przypadków podejmują się decyzje na „nie”, bo z tym jest po prostu mniej kłopotów, a pensja się nie obniża. Poza tym mógłby ktoś zapytać: „... jeśli podjąłeś decyzję na tak — to co z tego miało?”

I jak tu się dziwić radom narodowym niższego szczebla? Po prostu — jak sądzę — widzą tę „niemość, albo raczej zmuszalność” aparatu, któremu jest wygodnie, jak jest. Wywieszkę w urzędach, aby „iść naprzeciw” inicjatywom — są też tylko hasłami. A codzienne urzędnicze życie toczy się leniwie, jak zwykle i jak zawsze. Aby się nie narażać nikomu (lecz tu nie mam na myśli petenta), aby nie włączyć na siebie odpowiedzialności. Zasada naczelna: jeśli już muszę — to w ostateczności!

I jeśli to piszę, to nie aby komukolwiek dopieć. Bo „urzędnik” mimo plaketek w kłapach jest postacią anonimową. Chodzi mi o ogólny model postępowania i kontaktu ze społeczeństwem. Jest źle i nie nie wskazuje na to, że będzie lepiej. Bo jest to sfera świadomości. O roli służebnej wobec społeczeństwa. Tymczasem nie ma żadnych bodźców, aby się zmienić. Odwołanie się do hasła i zrozumienia — nie nie znaczy.

Jeszcze jedno: gdyby n.p. rzecznicz prasowy prezydenta m. Łodzi zajął w tej sprawie stanowisko, to gotów jestem ujawnić swoje nazwisko i przedstawić przynajmniej kilka konkretnych spraw, z których wynika, że organy administracji mimo przepisów nie robią nic albo prawie nic, zasłaniając się „niemożnością”. Czy wobec tego dziwić się radom narodowym?

W.A.

A WSZYSTKO PRZEZ TEN KLIMAT...

To, że wieczorem Łódź zamiera wiadomo nie od dzisiaj. Ciężka Piotrkowska nie zachęca do spacerów, tym bardziej że brak na niej i na sąsiednich ulicach sympatycznych lokali, gdzie by można przy kawie spokojnie porozmawiać. Nie wiedzieć czemu większość kawiarni jest zamknięta o godzinie 21 i tylko kilka z nich czeka na wieczornych gości.

Hotel „Grand” już samą swą nazwą i wieloletnią tradycją powinien gwarantować najwyższą jakość usług. Tymczasem pierwsze, co potencjalny klient zobaczy, to nieproszony gość przy stole — na fotelu urzędować będzie ni mniej ni więcej tylko... karaluch! Na zdziwiony okrzyk, kelnerka zbierze intruza ścierką, nie racząc nawet bąknąć słowa przeprosin. Potem okaże się, że do wyboru będzie tylko kawa, a w oczekiwaniu na upragnioną filiżankę malej czarnej niesfornej przybysz wypatrzy, że smętnie snujące się kelnerki obnoszą po sali nieświeże firmowe „mundurki”, rozczochrane fryzury i grobowe miny. Przy sąsiednich stołkach nieeladni goście — kilku Arabów w towarzyszywie pretensjonalnych tlenionych „piękności”. Niektóre „damsy” (?) lekkich obyczajów mają za sobą nie tylko pierwszą, ale i drugą młodość, oczekując na swą ostatnią szansę. Jest też grupa bardzo głośnych mężczyzn rżących namietnie w karty. Panowie z gatunku tych, co to pod „Pewexem” pracę już skończyli, a ich podopieczne nie zaczęły jeszcze tej nocy pracować, więc zabijają czas dolarowym pokerkiem.

Kawa, jak kawa, klient ucielesz się, że w ogóle ją gdzieś o tej porze dostał, ale jego radość będzie krótka, ponieważ zjawia się pani i oznajmia, że chce skasować, a zaraz potem uprzejmie... wyprosi z lokalu, bo właśnie dochodzi 22, a oni chcą zamknąć. Wyjdzie, gościu, (przez hotel, bo drzwi od kawiarni już zamknięte) potulnie — uszczęśliwiony, że w ogóle udało ci się jakoś spędzić miły (?) wieczór.

Wracając do domu wspomniam sobie tylko i cichutko westchniesz, jak kiedyś, całkiem niedawno i nie tak znowu daleko stąd, widziałeś mnóstwo sympatycznych, czułych małych knajpek czynnych długo w noc, póki byli goście, gdzie za kilka wymienialnych groszy mogłeś wypić co chciałeś, sympatycznie pogawędzić ze starymi i świeżo poznanymi znajomymi i posłuchać dyskretnie płynącej z głośnika muzyki w kwiatach o gródku na świeżym powietrzu. Zapinając szczerze palto wytnaczysz sobie, że to wszystko przez nasz zimny klimat i podrepcz ciemnymi ulicami do domu.

MONIKA MATUSZAK

KONRAD KOZŁOWSKI PROSTUJE

„Chciałbym sprostować co następuje:

— Otóż odnośnie punktu 4 artykułu: „12 dni w „Marchlewskim” z 12 numeru waszego poczytnego tygodnika powiedziałem jeszcze:

„Jestem z nim (tj. z Przewodniczącym Rady Łódzkiej PRON inż. Jabliewiczem) w stałym kontakcie”.

W międzyczasie nie zaszła potrzeba mediacji. Natomiast, jako w tym momencie reprezentant przewodniczącego Rady Łódzkiej PRON, nie ustosunkowałem się do tego, gdzie byli i co robili „łódzcy promieniści”, co zostało napisane w tym punkcie”.

Lecze wyraży szacunku
KONRAD KOZŁOWSKI

DZIEKUJEMY

Wszystkim, którzy nadesłali do redakcji świąteczne życzenia zespół „Odgłosów” serdecznie dziękuję.

INCOM INSTYTUT INNOWACYJNO WDROŻENIOWY

W ŁODZI, PLAC ZWYCIEŚTWA 13

zawiadamia, że począwszy od II kwartału 1989 r. uruchamia

PRODUKCJĘ ZAWORÓW GRZEJNIKOWYCH:

- ★ 1/2 cala — do sieci ciśnieniowych, z możliwością kryzowania
- ★ 3/4 cala — do sieci grawitacyjnych z podwójną regulacją —
możliwość regulacji przepływu w sposób ręczny
lub samoczynny głowicą termostatyczną.

Dostawy wedle kolejności zamówień mogą być realizowane w kompletach ze śrubunkiem przyłączeniowym.
Zamówienia należy kierować pod adresem:

Instytut Innowacyjno-Wdrożeniowy „INCOM”
90-436 Łódź, al. Kościuszki 93.

Informacja telefoniczna pod numerem 74-24-28, 51-31-86.

1431/K

DOM MODY „Zaga”

* odzież * bielizna * galanteria * obuwie
oraz różne dodatki damskie, męskie i dziecięce

POSZUKUJE DOSTAWCÓW

Łiczmy wyłącznie na artykuły wysokiej jakości, starannie wykonane o ciekawych modelach i formach.

Zapraszamy również jako dostawców zawodowych i amatorów plastyków, projektantów mody, studentów szkół artystycznych i odzieżowych, emerytów i rencistów oraz inne osoby, dla których szycie jest hobby.

Oczekujemy od poniedziałku do piątku w godz. od 12 do 18 Łódź, ul. Armii Ludowej 23 lub zgłoszenia telefonicznego tel. 31-99-10.

ZAWIADAMIAMY miłych klientów, że sklep rozpoczął działalność 1 kwietnia 1989 r. i zaprasza w godz. 10—18. 1364/k

MIĘDZYNARODOWE TOWARZYSTWO GOSPODARCZE

„Turystyka i Rekreacja”

Sp. z o.o.

Łódź, ul. Matejki 27
tel. 78-87-85 lub 78-55-01

OFERUJE SVOJE USŁUGI:

w zakresie projektowania i urządzania terenów zielonych

- * PARKI
- * ZIELEŃ OSIEDLOWA
- * OGRODY PRZYDOMOWE (wille, dacz, letnie rezydencje)

1363/k

OGŁASZAJ SIĘ W

„Odgłosach”

tel. 36 80 99

Zabrzańskie Gwarectwo Węglowe

Kopalnia Węgla Kamionnego „MAKOSZOWY”

w Zabrzu ul. MAKOSZOWSKA 24

ZATRUDNI OD ZARAZ DO PRACY POD ZIEMIĄ:

mężczyzn w wieku od 18 do 40 lat, w zawodach: górnik, ślusarz, elektryk, pracownik niewykwalifikowany pod ziemią oraz pracowników na powierzchni w zawodach: murarz, dekarz, zdun, robotnik budowlany.

PRACOWNIKOM ZAPEWNIĄ SIĘ:

- wynagrodzenie wg układu zbiorowego dla PW w zależności od stopnia kwalifikacji i stażu pracy,
 - wynagrodzenie z Karty Górnika,
 - deputat węglowy w wysokości 8 ton rocznie (dla pracowników żonatych),
 - roczne nagrody z funduszu zakładowego (13 i 14 pensja),
 - z okazji Dnia Górnika przysługuje nagroda w wysokości miesięcznego wynagrodzenia,
 - jednorazową pożyczkę na zagospodarowanie w wysokości 100.000 zł dla pracowników zatrudnionych pod ziemią, którzy zawarli związek małżeński po 01.02.1982 r. umarzoną po 5 latach nienaganną pracę,
 - premie jubileuszowe za 15, 20, 25, 30, 35, 40, 45, 50 lat pracy,
 - zakwaterowanie i wyżywienie w Domach Górnika,
 - dodatek stabilizacyjny przez okres 2 lat w wysokości 2.240 zł miesięcznie i do 5 lat w wysokości 1.120 zł dla osób, które po raz pierwszy podjęły pracę pod ziemią,
 - premie regulaminowe, uznaniowe, produkcyjne oraz specjalne premie dla pracowników nowo przyjętych zatrudnionych pod ziemią w następujących wysokościach:
 - po siedmiu dniach pracy 1000 zł,
 - po miesiącu pracy 2.000 zł,
 - po trzech miesiącach pracy 2.000 zł (jeżeli absencja usprawiedliwiona nie przekracza 5 dni).
- Nie przyjmujemy kandydatów do pracy zwolnionych dyscyplinarnie lub z porzuceniem pracy.

DOKUMENTY WYMAGANE DO PODJĘCIA PRACY:

- dowód osobisty
 - legitymacja ubezpieczeniowa
 - książeczka wojskowa
 - świadectwo pracy
 - świadectwo szkolne
 - dla osób z rolnictwa zaświadczenie z Urzędu Gminy potwierdzające czasokres pracy w gospodarstwie rolnym wraz z adnotacją, że może pracować poza rolnictwem.
- Szczegółowych informacji udziela dział zatrudnienia, po osobistym zgłoszeniu się lub telefonicznie 71-40-41 w. 5655.
Przy kopalni istnieje Zasadnicza Szkoła Górnicza w Zabrzu, ul. 3 Maja, przyjmująca młodzież do nauki w wieku 15—18 lat.
Informacji udziela sekretariat szkoły, telefon 71-29-15. 2072/k

„MAKOSZOWY”

Kiedyś dawno, może ćwierć wieku temu, albo jeszcze wcześniej, pracownicy posiadający stopień naukowy doktora otrzymywali dodatek do uposażenia w wysokości 300 zł, za co mogli jeszcze w 1980 r. kupić np. 0,5 kg kawy naturalnej, czyli około 3500 ziarenek tego szlachetnego surowca. Dobry duszek reformy gospodarczej nie gustuje widocznie w doktorach nauk, bo nie zwiększywszy im dodatku ani o grosz, podwyższył za to cenę kawy do 1400 zł za 10 dag. Wynika stąd prosty rachunek, że obecnie cena doktoratu równa się 150 ziarenek kawy. Dobra kawa powinna mieć, zdaniem Mickiewicza, „czarność węgla, przejrzystość bursztynu, zapach moki i gęstość miodowego płynu”, zaś według Talleyranda „kawa winna być czarna jak diabeł, gorąca jak piekło, czysta jak anioł, słodka jak miłość”. Tymczasem ta namiastka, jaką nas darzą rodzimi importerzy, pobierając haracz cenowy niewspółmierny do jej smaku, zapewne nie przypadłaby do gustu wielkiemu poecie i mężowi stanu.

Kawę zaczęto, według dawnych „kawologów”, uprawiać w okolicach miasta Moccha nad Zatoką Arabską w połowie XIII w., po czym spóżywanie jej rozpowszechniło się w innych krajach Bliskiego Wschodu. Pierwsze kawiarnie powstały w 1555 r. w Konstantynopolu, zaś od początku XVII w. zwyczaj picia kawy przenosił się na kontynent europejski, początkowo do Włoch, potem do Anglii, Francji i Niemiec. Jan Andrzej Morsztyn, pijąc kawę podczas krótkiego pobytu na Malcie w 1643 r., nie ukrywał oburzenia:

W Malcie-śmy, pomnę, kosztowali kawy,
Trunku dla baszów Murata, Mustafy,
I co jest Turków, ale tak szkarady
Napój, tak brzydka trucizna i jady,
Co żadnej śliny nie puszcza za zęby,
Niech chrześcijańskie nie plugawia gęby.

Po zwycięskiej batalii pod Wiedniem w 1683 r. nasz przedsiębiorczy rodak z Sambora imię pan Kulczycki uzyskał od cesarza Leopolda przywilej na założenie kawiarni w stolicy państwa Habsburgów.

Pierwsza kawiarnia w Warszawie powstała w 1724 r. przy ul. Gołępiej. Jej właściciel, winiarz Duval, oddał ją w zarząd córce, pięknej Henryce. Miłośnicy naówczas panujący August II Sas upodobał sobie nie tyle zapach wonnej „kawy” (nie mielonej zresztą, tylko tłuczonej, przesiewanej i wsypanyjanej do wrzątku), ile często odkrywane wdzięki nadobnej kawiarki. W wyniku tych monarszych odwiedzin papie Duwalowi przybyła wnuczka, słynna później z piękności Anna hr. Orzelska, a Warszawie słynny pałac przy ogrodzie Saskim — Błękitnym zwany.

W 1763 r. czynna była w Warszawie kawiarnia pod nazwą „Siedmiu siostr” później powstały kawiarnia Okunowej i kawiarnia Baldego „Pod Kopciuszkiem” przy ul. Długiej, w są-

Z różnych szuflad

Mała czarna

siedziwnie tzw. domu „na rurach”. W 1802 r. przybyła kawiarnia „Tyrolska” na rogu Elektoralskiej, zaś w 1822 r. liczono już 90 kafehausów w samej tylko Warszawie.

Zrazu upatrywano w kawie właściwości lecznicze. Józef Epifani Minasowicz, wydawca dziełka jezuitów, misjonarzy do Persji, Tadeusza Jana Krusińskiego (1875-1877) „Pragmatographia de legitimo usu ambrosij tureckiej, to jest Opisanie sposobu należytego zżywania kawy tureckiej” (Warszawa 1769), stwierdzał, że kawa jest to „zwyczajny tymi czasami i przyjemny zwłaszcza piciu białej posiek, a niektórym z niej i skuteczne, według mniemania przynajmniej, na spazmy i wapory lekarstwo”. Co do owych leczniczych walorów kawy zdania uczonych były jednak podzielone bo np. „Monitor Warszawski” z 1785 r. twierdził akurat odwrotnie: „Kawa, czy tego, czy nie tego, jest zawsze szkodliwa i sprawuje osobliwie w kobietach wiele chorób, których przedtem nie znano. Kawa i herbata, kiedy ją kto pije zaraz przed albo po obiedzie i po kolacji, jest bardzo szkodliwa”. I bądź to mądry, człecze wieku Oświecenia, kiedy ci tak w głowie zaciemniają nowinami Siegnijmy więc do „Osteologii i splanchnologii” (Lwów 1774), której autor i wyrocznia w sprawach zachowania zdrowia, Jędrzej Krupnicki, pisał: „Z rana zżywanie kawy z mlekiem najlepsze, po południu lepiej bez mleka filizankę czarnej kawy się napić”. W dziełku „Rada dla literatów, sedentariuszów i tych wszystkich, którzy przywiązani do urzędu swojego pracami rozumu zdrowie swoje wychęcają” niejakiego pana Tissota, profesora medycyny w akademii lozańskiej (przełożonej na język polski w 1774 r.) czytano, że kawa bywa także szkodliwa, „będąc napojem ciepłym i jęczącym, a niebezpiecznym przyzwyczajając się do jęczących posiolków”.

Nie na swoją odpowiedzialność, lecz za „Opiekunem Domo- wym” (1866, nr 3) powtarzam wiadomość o pewnym uczonym, dr Szallanie, który dowodził, że „kawa ma własność ożywania omaludka ciała i ożywania mózgu u osób, usposobionych do kretynizmu”.

Kiedy w latach 70. XVIII w. rozpowszechniano pogłoskę o wprowadzeniu tzw. akcyzy, czyli podatku od sprzedaży, nie tylko na tabakę, ale także na kawę, wspomniany już Minasowicz, syn ormiańskiego kupca, sprzedającego zresztą kawę we własnym sklepie w kamienicy Baryczków na Starym Rynku w Warszawie, sam kawosz zawołany, napisał wierszyk „Akcyza na kawę”, opublikowany wraz z innymi poematami u Grölla w 1782 r.:

Radujcie się szynkarnie, czyńcie w głos aplauzy,
Wy zaś smućcie kawiarnie, czyli kaffenhausy,
Bo gdy się zegną z kawą każą (rzecz z nie miłąką
Uważa biorąc) witać każą się z gorzałką.

Dodać warto, że ówczesny savoir vivre przewidywał, że gdy mężczyzna napił się kawy tuż po obiedzie, byłby zwalniany z obowiązku uczestnictwa w spełnianiu toastów.

Najlepszą i jedyną w swoim rodzaju relację o metodyce przyrządzania kawy, graniczącej z ceremoniałem, zapisał Adam Mickiewicz w II księdze „Pana Tadeusza”:

Takiej kawy jak w Polsce, nie ma w żadnym kraju:
W Polsce, w domu porządku, z dawnego zwyczaju,
Jest do robienia kawy osobna niewiasta,

Nożywa się kawiarką; ta sprowadza z miasta
Lub z wicin, bierze ziarna w najlepszym gatunku,
I zna tajne sposoby gotowania trunku,

Który ma czarność węgla, przejrzystość bursztynu,
Zapach moki i gęstość miodowego płynu.

Wiadomo, czym dla kawy jest dobra śmietana;
Na wsi nietrudno o nią: bo kawiarka z rana,
Przystawiawszy imbryki, odwiedza mleczarnie

I sama le-ko, świeży nabiału kwiat garnie
Do każdej filiżanki w osobny garnuszek,
Abu każą z nich ubrać w osobny kożuszek.

W mniej zamożnych domach używano zamiast cykorii suszonej marchewki, a słodzone miodem, nie dziw więc, że pewien weredyk, uczestwujący taką miszkulacją, fuknął do pani domu: „Przyznam się acani dobrodzie, że gdyby to było posiekane w kosteczki i skraszone miodą słoninką, to bym nie odmawiał, ale tak, rozgotowanemu w wodzie i osłodzonemu, Bóg widzi, że nie mogę podać”.

Za czasów Królestwa Kongresowego właśnie w kawiarniach debatowano o akcjach spiskowych i zbrojnym powstaniu, w kawiarniach o pięknych nazwach: „Suchy Las” przy Długiej, „Honoratka” przy ul. Napoleona i słynna „Dziurka Marysi” w pałacu Teppera.

ANDRZEJ KEMPA

1 „Powracający z zagranicy”, pani Alicja i video

Pan K., właściciel kolorowego telewizora marki Helios TC 500, miał kochankę imieniem Alicja. Kochanka miała nadzarną reputację z powodu alkoholizmu męża, więc było jej wszystko jedno. Z tej przyczyny udzieliła swoich wdzięków „Powracającemu z zagranicy” i tym sposobem weszła w posiadanie konta dewizowego a vista. „Powracający z zagranicy” okazał się ciekawszym partnerem niż pan K., toteż doszło do rozstania, pani Alicja zakupiła odwarzacz video marki Samsung, placąc zań przelewem z konta, i podarowała go panu K. wraz z kaseta, na którą nagrała instruktażowy film pornograficzny pt. „Boginie miłości”.

W tym miejscu należy zaznaczyć, że odwarzacz Samsung nadaje sygnał w systemie PAL, a telewizor Helios TC 500 odbiera w systemie SECAM i współpracuje z tych dwóch urządzeń była również niezbor-na jak pożyczka pana K. z pani Alicja. Dlatego pan K. musiał poprosić fachowca o założenie dekodera PAL w telewizorze. Pani Alicja na odchodne poleciła panu K. swojego poprzedniego adoratora, pana J., jako znakomitego dekodera zakładacza. Pan J., prowadzący prywatny zakład usługowy przy ul. Piotrkowskiej, nie był jednak zainteresowany wzbogacaniem wiedzy pana K. w zakresie technik seksualnych i w ogóle nie polubił pana K. tak jak nie lubi się tych, którzy odbierają nam nasze kobiety. Założył zatem wadliwy dekodery i po kilku naprawach gwarancyjnych zmuszony był wymontować go i zwrócić swoje honorarium w wysokości 30 000 zł.

Dalej doradzano panu K., żeby skorzystał z usługi pana F., który ponoć zakłada dekodery o niebo lepiej niż może sobie to wyobrazić pan J. i pan F., który nigdy nie był kochankiem pani Alicji, założył dekodery PAL do telewizora pana K., biorąc za tę czynność 40 000 zł, gdyż inflacja postąpiła o krok naprzód. Pan K. nie zdążył jednak zapoznać się z filmem „Boginie miłości” na tyle, by móc skutecznie rywalizować z „Powracającym z zagranicy” w walce o łaski pani Alicji. Nie zdążył, bowiem telewizor Helios TC 500 doznał aż dwóch awarii jednocześnie. Zapoznawszy się telefonicznie z objawami uszkodzeń, pan F. wystawił powielacz i dekodery SECAM. Zobowiązał się usunąć usterkę w przeciągu jednego dnia, jeżeli telewizor zostanie dostarczony do jego zakładu.

Dziesiąty z nagabywanych taksówkarzy zgodził się przewieźć telewizor do firmy pana F. za jedne 7000 zł, gdyż transportowanie tego typu sprzętu taksówką osobową jest niezgodne z przepisami.

W przewidzianym terminie pan F. nie zdołał zajechać do telewizora, ponieważ był zajęty obserwowaniem pracy innego fachowca, który zakładał te-rakotę w jego mieszkaniu. Dopiero następnego dnia pan K. uzyskał informację, że może odebrać swój telewizor w takim stanie w jakim go zawiózł do naprawy. Pan F. stwierdził za pomocą elektro-nicznych przyrządów, że jego dekodery PAL działa bez zarzutu, dekodera SECAM nie będzie zaś naprawiał bo nie ma do niego części a powie-lacz w ogóle nie można nig-dzie dostać, a jest to podzes-pół nienaprawialny.

Po powrocie inną taksówką do domu — tym razem szczęśliwie za 5000 zł. — pan K. odbył szereg rozmów telefonicznych z ogłaszającymi się w prasie telenaprawiaczami i udało mu się znaleźć jednego który posłał powielacz i w umówionym terminie wymienił go w telewizorze pana K. za 17 000 zł. Dekodera jednakże nawet nie chciał dotknąć, twierdząc, że może i ma obowiązek go naprawić jedynie pan F., który zakładał dekodery PAL. Na identycznym stanowisku stanęli wszyscy mechanicy w Łodzi, a pan F. zgadza się jedynie na wymontowanie swojego dekodera i zwrot 40 000 zł. Nie jest jednak w jego mocy przywrócić telewizor do stanu, w jakim go wziął w swoje ręce po raz pierwszy.

Nie przekonuje go fakt, że to on, ingerując w fabryczny układ SECAM, spowodował jego uszkodzenie, twierdzi, że pan K. bierze niewłaściwych fachowców, którzy na pewno nie mają żadnych literek przed nazwiskiem, a wreszcie — choć sam takie literki posiada — rzucił ordynarnie słuchawkę i wyłącza telefon.

Założenie dekodera PAL kosztuje już 50 000 zł, naprawa SECAM około 35 000 i pana K. nie stać na taki wydatek. Nie ogląda zatem programu telewizyjnego, a skupił się jedynie na oglądaniu filmu pt. „Boginie miłości”.

Jak niegdyś pani Alicja zakładała sercem pana K., tak teraz boginie miłości władają jego wyobraźnią. Chciał wprawdzie poprzez ogłoszenie w prasie uprzedzić wszystkich, iż pan F. jest hochszaplerem i szarlatanem, ale postanowił nie wydawać na to pieniędzy. Przyjdzie przecież taki dzień, w którym „Powracający z zagranicy” zostanie obdarowany sprzętem video na otarcie łez, a wtedy warto być gotowym do come backu.

ANDRZEJ KRAKOWSKI

2 Lewym okiem Miasto szczęśliwe

Od kilku miesięcy obserwujemy zwiększone zainteresowanie Wilnem i Wileńszczyzną, tym większe, że wszystko, co dotyczy tych ziem było do niedawna skrzętnie przemilczane. A przecież, cokolwiek by powiedzied, z ziemiami tymi łączy nas bardzo wiele. Tak więc, można się tylko cieszyć, że o dzisiejszej stolicy Republiki Litewskiej można przeczytać tak wiele i tyle usłyszeć o niej w telewizji i w radio.

Jeśli chodzi o Wilno w latach minionych a zwłaszcza w latach ostatniej wojny, musimy sięgnąć do książek opublikowanych dawno temu i dostępnych już tylko w wypożyczalniach. Mielśmy wspomnienia Tadeusza Łopalewskiego „Czasy dobre i złe”, Anny Jędrichowskiej „Zygazkiem i po prostu”, Aleksandra Maliszewskiego „Na przekór nocy”. — Więcej tam-czesnych wspomnień znaleźliśmy w książkach wydanych na emigracji, takich jak: W. Chocianowicza „Pamiętnik wileński”, B. Krzyżanowskiego „Wileński matecznik 1939-44”, i innych. Książki te jednak bę-dą może dostępne dopiero za parę lat.

Na fali tego zwiększonego zainteresowania pragnę tu zacytować krótki fragment reportażu zamieszczonego w moskiewskich „Izwestiach”, mianowicie w numerze 234 z 9 października 1939 roku, jak widział Wilno ówczesny radziecki dziennikarz, parę tygodni po wejściu do tego miasta Czerwonej Armii. Postuchajcie:

„DZIEŃ WYZWOLONEGO MIASTA” (wyjątki) (...) Strzałki zegarów zostały przestawione o dwie godziny naprzód i Wilno żyje według nowego moskiewskiego czasu. Wprowadzane są również sowieckie tempa pracy i życia. (...) 12-ta w południu. Radio ogłosiło wiadomość, że zostały wprowadzone w obrocie sowieckie znaczki pocztowe. Każdy obywatel Zachodniej Białorusi może wysłać list do dowolnego punktu w Związku Radzieckim. Przy okienkach pocztowych powstały ogonki. Są to ci, których brat pracuje gdzieś jako inżynier na fabryce w Magnitogorsku, lub siostra jako lekarz w Taszkencie, lub bliski krewniak jako pracownik naukowy w Moskwie. (...) Na pocztę zabrakło piór i stoliczków. Piszą ołówkami, stojąc przy ścianach lub siedząc w kucki (...) 5-ta po południu. Przybyły pierwsze sowieckie towary. Na ciężarówkach przywieziono sól, naftę, tytoń i zapalki. Została stworzona hurtownia, przez którą owe artykuły pierwszej potrzeby zostaną rozdzielone pomiędzy wszystkie zamieszkałe punkty Wileńszczyzny. (...) Wieczorem młodzież zbiera się w kółka i pod kierownictwem czerwonoarmistów śpiewa sowieckie pieśni, które bardzo polubią.

Jak widzieliśmy Wilno było miastem, gdzie do pełnej szczęśliwości brakowało już tylko soli i nafty. Ważne zwłaszcza, że mieszkańcy Wileńszczyzny mogli korespondować ze swymi krewnymi zatrudnionymi jako inżynierowie i lekarze w dalekich Taszkentach i Magnitogorskach. Czyżby to byli polscy specjaliści mieszkający tam od wielu lat i nie mogący się komunikować z rodziną tylko dlatego że dzielili ich granica państwa?

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3 Sport Smutno mi, gdy o tym myślę

Muszę szczerze przyznać się, że nie pisałem najlepiej ani o Grzegorzu Filipowskim, ani o Dariuszu Dziekanowskim. Nie wzięło się to z mojej niechęci do obu sportowców, ale z takiej a nie innej oceny ich pracy — jazdy Grzegorza Filipowskiego i gry w piłkę nożną Dariusza Dziekanowskiego. Jeśli dziś porównuję obu i piszę o nich inaczej, to nie dlatego, że zmieniłam zdanie, ale dlatego, że oni coś zmienili w swoim życiu, coś osiągnęli ciężką pracą, a czegoś im nie dano osiągnąć.

Grzegorz Filipowski został wiceprezidentem Europy i zdobył trzecie miejsce na świecie. Wyczyn ogromny i myślę, że powinien sięgnąć jeszcze po najwyższy laur. Czego mu zresztą serdecznie życzę.

Mam jednak smutną pewność, że nie dokonamy tego, gdyby Barbara Kossowska nie podjęła „męskiej” decyzji i nie

wyjechala do USA zabierając ze sobą Grzegorza Filipowskiego. Kiedy wyjeżdżała z Polski Grzegorz Filipowski zajmował na świecie 13 miejsce. Jego starty były nieudane. Nie udało mu się wygrać. Jego ruchy były kanciaste. Trzeba było wielkiej siły woli, aby nie zwątpić w jego zdolności i ogromnej pracy, aby Grzegorz Filipowski mógł się pozbyć wstydu, co mu przeszkadzało i stać się trzecim lyżwiarzem świata. I zrobiła to Barbara Kossowska, która nie zwątpiła, którą stać było na wielki wysiłek nie tylko fizyczny, nie tylko intelektualny, ale i finansowy. Gdy wyjeżdżała z Polski GKFFIT zrezygnował z Grzegorza Filipowskiego i zasiadający tam urzędnicy orzekli, że jego występ tylko wstyd Polsce przynosi. Dziś możemy się tylko wstydić takich urzędników. Mimo trudności, dzięki pomocy Waldemara Krajewskiego wyjazd do USA doszedł do skutku i stało się to, co się stało. Ale powtarzam — i to mnie smuci — że bez tego wyjazdu nie byłoby tych sukcesów!

A teraz popatrzmy na losy innego sportowca. Jeśli jest Dariusz Dziekanowski — każdy widział, wie i może się przekonać. On sam uważa, że w kraju osiągnął wszystko, co było do osiągnięcia: wiceministrstwo Polski, Puchar Polski, był Piłkarzem Roku, najlepszym strzelcem ligi, blisko mu do 50 występów w reprezentacji kraju. Tylko nie może wyjechać za granicę. Jakoś mu to nie wychodzi. No i ciągle jest bohaterem różnych — nie tylko sportowych — skandali. Gdy pokaze się na boisku kibice gwizdzą. W wywiadzie dla „Polityki” powiedział, że nie można od niego wymagać, aby grał jak Maradona, bo tamten jest niepowtarzalny i jedyny. Prawda to, ale myślę, że cała niechęć do Dariusza Dziekanowskiego bierze się stąd, że gra on w sposób denerwujący widza. Raz gra jak z nut, innym razem nic mu nie wychodzi. I nigdy nie wiadomo, jak zagra. Nigdy nie wiadomo, czego się po nim spodziewać. A polski kibic lubi pewniaki.

Dariusz Dziekanowski jest inny. Trzeba uznać jego sukcesy i zastanowić się nad przyczynami niepowodzeń. Nie tych na boisku, ale tych życiowych. We wspomnianym wywiadzie dla „Polityki” Dziekanowski powiada, że Zbigniew Boniek zrobił karierę na Zachodzie, bo wyjechał w wieku 28 lat, a Kazimierz Deyna nie, bo miał 31 lat, gdy wyjeżdżał. On — Dariusz Dziekanowski — ma już 27 lat i nie powinien dłużej czekać. A jakoś wyjechać nie może.

O sukcesie na Zachodzie Zbigniewa Bonika i Kazimierza Deyny zdecydował chyba nie tylko wiek, ale i skala talentu. Wielu polskich piłkarzy wyjechało na Zachód, ale przecież takiej kariery jak Zbigniew Boniek nikt nie zrobił. Ale to inna sprawa. Mnie tu chodzi o to samo; tak jak Grzegorz Filipowski bez wyjazdu do USA nie byłby trzecim lyżwiarzem świata, tak stała się chyba Dariuszowi Dziekanowskiemu krzywda, że nie dane mu było sprawdzić swoich możliwości w zagranicznym klubie. Być może dla jego rozwoju, dla jego piłkarskich i nie tylko umiejętności było to konieczne. Ale na drodze stał urzędnik, który zajmując się niecnym procederem sprzedawania sportowców na Zachód i dlatego Dziekanowski czeka na ten wyjazd pełen nadziei i gorczy. Niech mu to wreszcie dane będzie!

Smutek mnie ogarnia, gdy pomyślę sobie, ile jeszcze talentów może znaleźć się w sytuacji, jakiej doświadczyli obaj sportowcy. Dlaczego nie potrafimy w kraju stworzyć takich warunków, aby żaden talent się nie zmarnował? A jeśli już nie potrafimy, to dlaczego nie ułatwiamy wyjazdu na Zachód, aby i talent się mógł rozwijać i Polska na tym nie traciła?

Czy te postawione na głowie sprawy przewróci się kiedyś na nogi?

BOGDA MADEJ

Wielkość ludzi nie ma pojęcia o samotności. Gdyby zaprzytał ich, co to jest, nie potrafiliby udzielić odpowiedzi wybiegającej poza gazetowe banały z „poradnika samotnych serc”. Znają samotność ludzie starzy, ale to nie jest samotność, to opuszczenie. Tu mówimy o „samotności” pełnosprawnych, których organizm wyją z braku możliwości rozrodu. Lub przynajmniej z braku możliwości imitowania działań, które do rozrodu prowadzą.

Miałem spotkanie autorskie w świetlicy Huty Warszawa, bodaj w 1969 roku. Było ciemno i zimno, i mokro, podwieszono mnie do sali o betonowej podłodze, pełnej dziur, w których stała woda. Jarzeniówka oświetlała tylko jedną część sali, te w której stał przedstawiciel zakładowej kultury i ja, a także fotografik Popłoński i dziennikarka Meloch. Przyjechała też ze mną moja dziewczyna, a była to ładna sztuka i dwie setki facetów w wilgotnych kufajach, cmiących „sporciaki”, wydalo je na przydechu, właściwy kałdemu spragnionemu ciała samcowi, obojętne czy zarabia na siebie tłuczeniem kamieni, czy wymyślaniem pomysłów, które mają uszczęśliwić świat.

Po pierwszej fali jęku nastąpiły jęki indywidualne, przetykane przekleństwami, bo nie tak nie wyrazi podziwu dla kobiety, jak „dowo kurwa”.

Wydawało się, że przegram z tymi ciemnymi, pozbawionymi zasad towarzyskimi, a pewnie też i moralnymi ludźmi, których życie kołysze się między dwoma stresami: harowa przy rozpalonych niekach huty, następnie dobijanie wciąż drgającego organizmu alkoholową trucizną. Skąd jeszcze, przy takiej codziennej huśtawce obciąża ich hormonów produkowały chęć rozrodu, pozostaje tajemnicą. To widak niezniszczalny i dlatego lud zwie to wola boża.

Tym z oraw chodzą o pokazanie w reportażu, jak pisarz ułarzmia zupełnie odległą od kultury publiczność. Bp, publiczność mogła w każdej chwili powiedzieć: „wypierdalać, frajerze”. Lecz to oni byli frajerami, nie ja, ponieważ ja już kiedyś wykonywałem pracę im przypisaną, natomiast oni nie byłoby w stanie wykonać mojej pracy. Znałem ich świat, dlatego baroma zdaniami uciśnięm bractwo, zająłem ich uwagę i dyskusja trwała dwie godziny — nie o kulturze, rozumianej przez kawiarnianych ludków z papieru, tylko o warunkach w wiezieniach, o zbyt wysokich wyrokach, o tym, że każdy kandydat na sędziego, czy prokuratora powinien w ramach praktyki przesiedzieć przynajmniej dwa lata za kraty, żeby wiedzieć dokładnie, na co ludzi skazuje, to są tematy dla ludzi ciężkiej pracy, nie „kultura”.

Zrównaliśmy się w sposób naturalny i ci mieszkańcy hotelu robotniczego przenosili mnie w końcu za słaby początek naszej znajomości, za te kurwy posyłane głośno w obecności pań, jeden z nich wstał i powiedział, zrobiwszy szeroki gest kufajowym rękawem po całej sali:

— No bo sam pan widzi, ile tu tego złomu się poniewiera...

Nie zapomnę tego określenia do końca życia. Ponad awustu młodych facetów, zawierających w sobie energię równą małej bombie atomowej — i złom. Złom, ponieważ był bezużyteczny. Praca w hucie to tylko sposób zdobywania szamnu, żeby zapchać worek pod koszulą, który co parę godzin robi się pusty. Dojrzewająca kobieta, wydobywająca ten jeden, niepowtarzalny kawał złomu z wysypiska, czyni lud. Złom staje się człowiekiem.

Jan Duch stał się złomem natychmiast o wyjeździe Georga z Kanady. Po nic, że nie mieli z sobą seksu, że okazali sobie obojętność i nienawiść na przemian. Ale ona była, i sama jej obecność dawała Duchowi poczucie bycia mężczyzną.

Gdyby rzecz działała się w Polsce, Jan Duch w ciągu godziny znalazłby cztery kandydatki na żonę, areszta wiele takich czekało „na zapisie” od dawna. Sek był takim problemem, jak wywoicie szklanki wody. To było wszędzie. Jeden telefon i przyleżały trzy, bo ta pierwsza organizowała ożoastę. Tak, rozsowny był Jan Duch, ale to tylko dlatego, że to lubił — i lubił to jego przyjaciółki. Ba, kiedy nie miał forsy, to nawet zawodówki dawał mu „na bora”, jak się kiedyś w Łodzi mówiło, czyli na kredyt. Bortowały mu...

W Kanadzie nikt nie zboguje. Ten człowiek nie wie, jak rozmawiać z innym człowiekiem. Ten człowiek nie wie, dokąd pójść, żeby spotkać chętnych ludzi. Ten człowiek nie

ANDRZEJ BRYCHT

Azyl polityczny

Część II

Samotny zapozna panią (10)

wie, że bez pieniędzy w tym kraju nie dostanie się nawet uśmiechu od dziewczyny.

Owszem, uśmiech w Kanadzie jest wszechobecny. Ekspedientki, kasjerki, pielęgniarki, lekarki, urzędniczki i przewodniczki uśmiechają się na potęgę. Wyglądają z tym wspaniałe i człowiek ze Wschodu myśli, że jest bardzo przystojnym facetem. Dopiero po jakimś czasie zauważa, że one uśmiechają się tak samo do sparaliżowanego staruszka na wózku i do pań z ogródkiem na głowie.

Śa to uśmiechy zawodowe, gdyby te dziewczyny nie potrafiły się uśmiechać, nie dostałyby tej pracy. Mało tego, muszą mieć zdrowe i białe zęby, nie ma mowy, żeby pracująca z publicznością — o soba, mężczyzna też, pokazał piękniaka la stuletni Frankensteina. Zab to człowiek. W Kanadzie zab jest najlepszą wizytówką. On określa twój status społeczny. Bo po zębach widać, w jaki sposób się odżywasz i w jaki sposób traktujesz higienę. Słowem, czy szanujesz własne życie, czy nie. Jak własne cenniz, to i cudze też. Jeśli masz zęby porośnięte kamieniem, żółte i zielone, powykrywane, sprawiające wrażenie, gdy się nieopatrznie uśmiechniesz, że otwiera się kłapa prowincjonalnej kloaki, to zapomnij o pieniądzach, ponieważ nikt nie da ci dobrze płatnej pracy. Tak samo jeśli masz zab metalowy, srebrny lub złoty. Wiadomo, że przybyłeś z dalekiego kraju, gdzie złoto w gębie świadczy o bogactwie, zaś zwykły metal o biedzie. Do noszenia ciężej, do zamiatania ulic z takim zębem. Jeśli natomiast brakuje ci zębów, to jesteś absolutnie przegrany. Żeby na rynku są, każdy może mieć zęby, tylko trzeba pójść do dentysty, żeby wstawił — ale nie o to chodzi, tylko o to, że brak zębów wskazuje na wieloletnie zapuszczenie higieny jamy ustnej, dekonspiruje twoje kompletnie lenistwo i zamiłowanie do brudu i smrodu, skłonności do masochizmu, bo przecież musiałeś cierpieć, kiedy te zęby gnily, zatrwały twój cały organizm przez wiele lat. Człowiek bez zębów nie powinien się pokazywać na ulicy w postaci innej niż postać żebraka.

Taka jest Kanada. Jan Duch na szczęście miał kły w jakimś takim porządku. Nie wiedział jednak i o tym, że dziewczyny kanadyjskie nie zawierają znajomości na ulicy ani w barze. Te, które to robią, to wirażki, którym na życiu nie zależy. Normalna osoba traktuje podchodzącego mężczyznę jak potencjalnego zbrojnicę i zabójcę. Prasa i telewizja codziennie donoszą o porwaniu młodych kobiet, a nawet dzieci, o gwałtach i morderstwach. Jest to ogromny, otwarty świat, setki milionów ludzi wędruje z miejsca na miejsce, przeciętny okres posiadania domu w jednym miejscu wynosi w Ameryce Południowej trzy lata. Dziś w Kalifornii, jutro na Alasce. Jeśli tylko nowa praca przyniesie więcej pieniędzy, Sprzedasz dom, w trzy dni, czwartego kupujesz nowy, przeprowadzka polega na odwołaniu kilku telefonów i w następnym tygodniu mieszkasz o siedem tysięcy kilometrów dalej. Nie istnieje obowiązek meldunkowy, nie ma dowodów osobistych, dokumentem może być wszystko: prawo jazdy, które od niedawna wydawane jest ze zdjęciem, albo karta biblioteczna, bez zdjęcia. Z Kanady do Stanów przejeżdża się bez zatrzymania, facet w budce macha łapą i już. Czasami trzeba pokazać prawo jazdy, jeśli kogoś szukają. To wszystko wytworza specjalny rodzaj rozumienia bezpieczeństwa osobistego. Tu nie ma wiesz środowiskowych, norm wytworzonych przez osiadłe społeczności. To jest wieczny ruch i trzeba uważać na każdy krok, jakby człowiek znajdował się pośrodku autostrady, pełnej pedających maszyn.

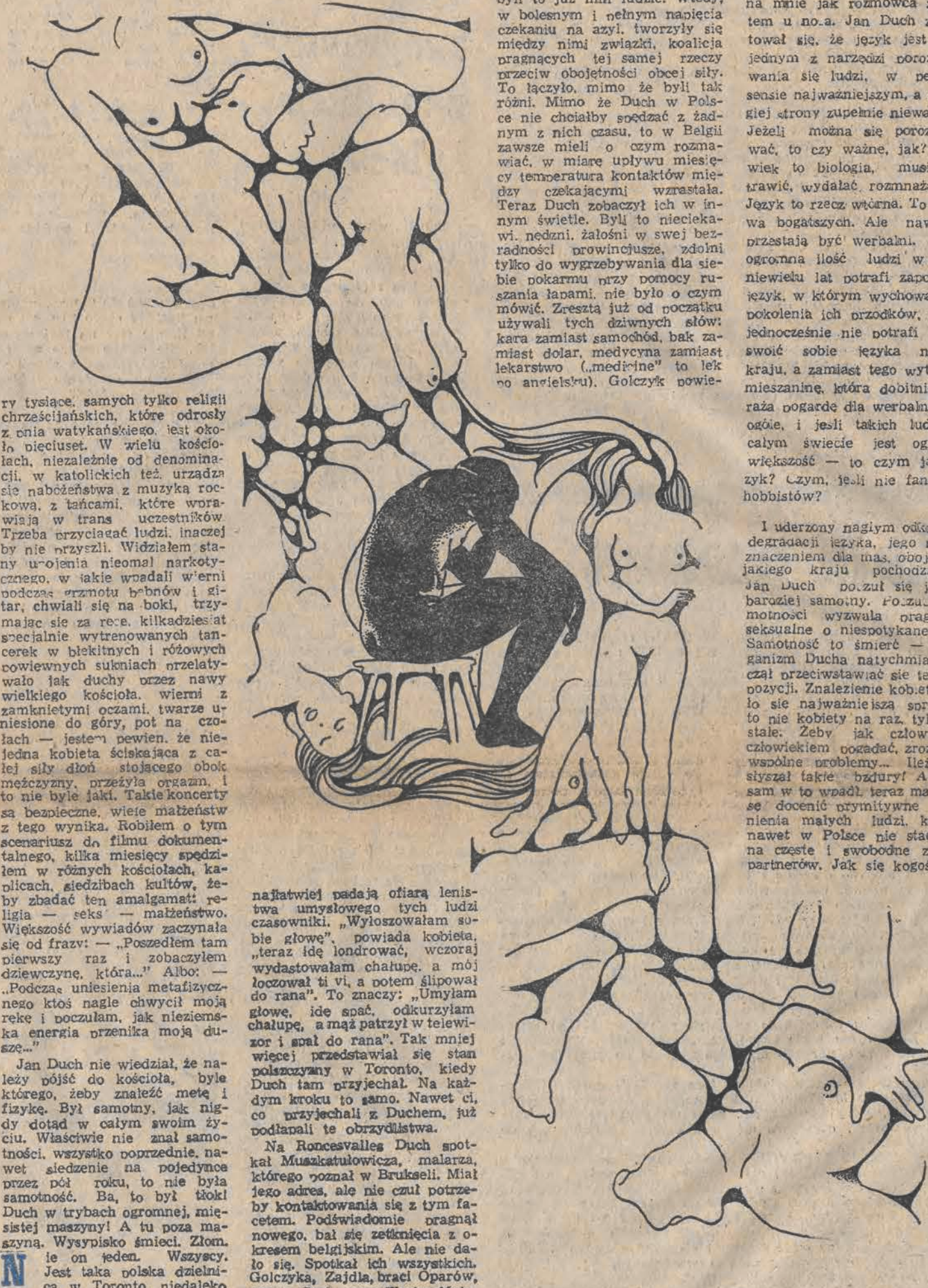
Kobieta poznaje mężczyznę przez znajomych, w pracy, na studiach, w klubie zainteresowań, w organizacji kościelnej — przy czym trzeba zauważyć, że Kościołów, to znaczy religii, jest na kontynencie ponad czterdzieści, samych tylko religii chrześcijańskich, które odróżnia od siebie, jest około pięćdziesięciu. W wielu kościołach, niezależnie od denominacji, w katolickich też, urządziła się nabożeństwa z muzyką rockową, z tańcami, które wrzawiają w trans uczestników. Trzeba przyznać ludzi, inaczej by nie przetrwali. Widziałem stany urojenia nieomal narkotycznego, w jakie wpadali wierni podczas przynajmniej trzech, czterech, a nawet pięciu nabożeństw. Wiele kościołów, w których wędrowali przez nawy wielkiego kościoła, wierni z zamkniętymi oczami, twarze uniesione do góry, pot na czołach — jestem pewien, że niejedną kobietą ściskającą z całej siły dłoń stojącego obok mężczyzny, przeżyła orgazm, i to nie było jakieś. Takie koncerty są bezpieczne, wiecie małżeństw z tego wynika. Robiłem o tym scenariusz do filmu dokumentalnego, kilka miesięcy spędziłem w różnych kościołach, kaplicach, świątyniach kultów, żeby zbadać ten amalgamat: religia — seks — małżeństwo. Większość wywiadów zaczynała się od frazy: — „Poszedłem tam pierwszy raz i zobaczyłem dziewczynę, która...” Albo: — „Podczas uniesienia metafizycznego ktoś nagle chwycił moją rękę i poczułem, jak niezmienna energia przenika moją duszę...”

Jan Duch nie wiedział, że należy pójść do kościoła, byle którego, żeby znaleźć metę i fizykę. Był samotny, jak nigdy dotąd w całym swoim życiu. Właściwie nie znał samotności, wszystkie poprzednie, nawet siedzenie na pojedynczo przez pół roku, to nie była samotność. Ba, to był tłoki Duch w trybach ogromnej, miesistej maszyny! A tu poza maszyną, wysypisko śmieci. Złom.

Je on jeden. Wszyscy. Jest taka polska dzielnicą w Toronto, niedaleko High Parku. Główna ulica tej Little Poland nazywa się Roncesvalles Avenue. Małe sklepiki z napisami niepewną ręką: „Perogy, Golabki!” albo „Dajemy Flaki!” albo „Mówimy po Polsku!” albo „Pani Zofia Z Warszawy Wrzuci z Ronk — Zamawiaj Dziś Najpręd — Not Expensive”. Po ulicy snują się starzy Polacy, którzy w bocznych, wąskich uliczkach mają swoje słacone już domki „na dwóch podłogach” bo parter po angielsku to „floor”, czyli piętro, ale dosłownie oznacza podłogę. Polacy tłumaczą dosłownie. Tutaj słyszysz język-mutant, efekt nieudolnego połączenia polskiego i angielskiego: „Dzian, wyciep garbiż z bejsmentu, wykłmuj atyk, weź karę i baj sam fud, tylko park nie daj, żeby ci znowu tykta nie dali, uni tera czardzują jak hel, i Dzian, tel for fader że na lwinng mamy tryo do Sen Kleter, ankel ma dla nas ten bik barel na kabydż, to niech fader zrobi tank empty żeby był rum, no, goł, szkoda tajem marnować, ino drajwuj kierfuły, bo tera aksydenty” na każdym kornierze.”

Przetłumaczę słowo po słowie: „John, wyrzuć śmiecie z piwnicy, wyczyść poddasze, weź samochód i kup trochę jedzenia,

tylko zaparkuj na słupku (taki z zegarem, nieznany chyba dotąd w Polsce), żeby ci znowu mandatu nie dali, oni teraz liczą sobie tak diabli, i John, powiedz swojemu ojcu, że wieczorem mamy pojechać do Saint Catharines, wuj ma dla nas tą wielką beczkę na kapustę, to niech zrobi bagażnik pusty, żeby było miejsce, no, idź, szkoda czasu marnować, ino jedź ostrożnie, bo tera wypadki na każdym rogu”. Ten język-mutant jest czymś niebywale ohydny. Jest to parodia angielskiego i polskiego zarazem. Duch nie rozumiał, dlaczego



najłatwiej padają ofiarą lenistwa umysłowego tych ludzi czasowników. „Wyloszowałam sobie głowę”, powiada kobieta, „teraz idę londować, wczoraj wydoszowałam chalupe, a mój łowcał ti vi, a potem ślipował do rana”. To znaczy: „Umyłam głowę, idę spać, odkurzyłam chalupe, a mąż patrzył w telewizor i spał do rana”. Tak mniej więcej przedstawiał się stan polszczyzny w Toronto, kiedy Duch tam przyjechał. Na każdym kroku to samo. Nawet ci, co przyjechali z Duchem, już podlaniali te obrzydliwstwa.

Na Roncesvalles Duch spotkał Muskatulowicza, malarza, którego poznał w Brukseli. Miał jego adres, ale nie czuł potrzeby kontaktowania się z tym facetem. Podświadomie pragnął nowego, bał się zetknięcia z okresem belgijskim. Ale nie dało się. Spotkał ich wszystkich: Golczyka, Zajdla, braci Oparów, Stasia Grala oraz Wacka Mola. Spotkał też Bolka z Zabrza, który na widok setek wydawnictw z gołymi dziełkami zaprzęgał stać się wydawcą na całego. Z klasą. Zamierzał wydawać coś w rodzaju Playboyów, tylko odważniejszego. W języku polskim, przeznaczonym dla emigracji. Powiedział o tym Duchowi w minutę po spotkaniu przed anteką Solariskiego, takim drugostorem, który odwiedza wszystkich Polacy.

Najpierw załatw sprawę z kierownikiem tego oto instytutu — powiedział Duch, wskazując na drugą stronę ulicy, gdzie stał czerwony kościół pod wezwaniem świętego Kazimierza.

Kościół ten był i jest instytutem dla ogromnej masy emigrantów, oczywiście szczególnie dla starszych. Nowi teraz, nawet ci, co w kraju nieomal mieszkali w kościele we wczesnych latach osiemdziesiątych, po wyskoczeniu „na wolność” już nie muszą zwracać sobie głowy banialukami. W Polsce Kościół był oazą „wolności”, nie kazdiem tam pachniało, lecz Zachodem, dolarem, innym życiem. Teraz, kiedy się ma to inne życie, co po Kościele? Tym bardziej, że w Polsce miało się czas i siłę na Kościół, a tu czas i siłę zabiera praca. Praca, po-

jęcie nieznane Polakom, żyjącym w kraju. Pojęcie, które tu, w Kanadzie, nabiera zupełnie niespodziewanych znaczeń i te znaczenia odsuwają inne sprawy na margines, wypychają je z rzeczywistości człowieka, ta rzeczywistość staje się bolesnie realna, kościół to zabawa, hobby, w Kanadzie Kościół nie da ci nic, człowieczku, w Kanadzie ty musisz dać Kościołowi za „spiritual service”, za obsługę duchową. Prawie wszyscy przybysze postanawiają więc obsługiwać się sami.

Ale o tym potem. Jan Duch spotkał znajomych z Belgii, lecz byli to już inni ludzie. Wtedy, w bolesnym i niełnym napięciu czekaniu na azyl, tworzyli się między nimi związki, koalicje pragnących tej samej rzeczy przeciw obojętności obcej siły. To łączyło, mimo że byli tak różni. Mimo że Duch w Polsce nie chciałby spędzać z żadnym z nich czasu, to w Belgii zawsze mieli o czym rozmawiać, w miarę upływu miesięcy temperatura kontaktów między Czechajacymi wzrastała. Teraz Duch zobaczył ich w innym świetle. Byli to nieciekawie, pedanci, żalozni w swej bezradności prowincjonalnej, zdolni tylko do wygrzebywania dla siebie pokarmu przy pomocy ruszania łapami, nie było o czym mówić. Zresztą już od początku używali tych dziwnych słów: kara zamiast samochód, bak zamiast dolar, medycyna zamiast lekarstwo („medcine”) to lek po angielsku). Golczyk powie-

zbrodnia i będę robił wszystko, co w mojej mocy, żeby odwrócić tę bzdurę. Kocham swobodę języka, sam mówię: wzięść, tu-tej, dzisiejsi, oinć — chociaż wiem, że pisze się inaczej. Ale nazwy samochodów i papierosów? Jeżeli w Kanadzie mam Chevroleta, to jest to Chevrolet, nie chevrolet. Tak samo Buick, Oldsmobile, Cadillac, Corvette, Peugeot czy Citroen. Mam fizyczny stosunek do słów, jak do ludzi — te nazwy pisane z małych liter działają na mnie jak roznóżwa z glutem u no. a. Jan Duch zorientował się, że język jest tylko jednym z narzędzi porozumiewania się ludzi, w pewnym sensie najważniejszym, a z drugiej strony zupełnie nieważnym. Jeżeli można się porozumiewać, to czy ważne, jak? Człowiek to biologia, musi jeść, krawić, wydalać, rozmnażać się. Język to rzecz wtórna. To zabawa bogatszych. Ale nawet ci przestają być werbalni. Jeżeli ogromna ilość ludzi w ciągu niewielu lat potrafi zapomnieć język, w którym wychowały się pokolenia ich przodków, i jeśli jednocześnie nie potrafi przyswoić sobie języka nowego kraju, a zamiast tego wytwarza mieszaninę, która dobitnie wyraża pogardę dla werbalności w ogóle, i jeśli takich ludzi na całym świecie jest ogromna większość — to czym jest język? Czym, jeśli nie fanaberią hobbistów?

I uderzony nagiym odkryciem degradacji języka, jego nikim znaczeniem dla mas, obojętne z jakiego kraju pochodzących, Jan Duch pociął się jeszcze barziej samotny. Rozucie samotności wyzwała pragnienie seksualne o niespotykanej sile. Samotność to śmierć — i organizm Ducha natychmiast zaczął przeciwstawiać się tej propozycji. Znalazienie kobiety stało się najważniejszą sprawą i to nie kobiety na raz, tylko na stałe. Żeby jak człowiek z człowiekiem pogadać, zrozumieć wspólne problemy... Ież razy słyszał takie bzdury! A teraz sam w to wpadł, teraz ma szansę docenić prymitywne pragnienia młodych ludzi, których nawet w Polsce nie stać było na częste i swobodne zmiany partnerów. Jak się kogoś mia-

rys. Dariusz Romanowicz

dział wyraźnie: „Poszedłem do doktora i dał mi medycynę”. Jan Duch pojechał to stado indyków.

Jadąc tramwajem, pełnym biednych sierot wracających z pracy w fabryce, pachnących specyficzną wonią szmat i octu, bo były to szwachki, zastanawiał się nad znaczeniem tak zwanej mowy ojczystej dla ludzi. Pomyślał, że tylko inteligentem odmianną „humanistyczną” zależy na utrzymaniu tak zwanej czystości języka, a nie co to jest ta czystość? Gdyby ściśle utrzymać to, co było czystością języka w roku 1850, to jakby ten język wyglądał? Nie istnieje idealna czystość języka, tak samo, jak nie istnieje idealna czystość żadnego żywego organizmu. Dla jakichś pacałów właściwy polski jest wtedy, kiedy jaguar wpada na syrenkę, przejeżdżając obok warszawy. Dla mnie to jest

ło, to ten ktoś był ważny, bo niełatwo znaleźć zastępstwo, już nie mówiąc o tym, że ciekawie się przyzwyczajają. O, i takie teksty zna! Teraz stał się bohaterem tych tekstów.

Postanowił działać. Najpierw w narodnym „Variety Store” kupił kolorowe pismo z gołymi dziełkami, pokazującymi różne Sezamy, potem w swoim pokoju walił konia przez cały wieczór, żeby na drugi dzień mieć łeb wolny od pożądań i na trzecie zastanowić się nad sytuacją.

Postanowił spenetrować środowisko polskie dokładnie. Dziewczyna musi bowiem rozmawiać po polsku — bez tego ani rusz. Musi gdzieś przebieć jakąś inteligentna babka w tym bagnie obojętności, do diabła!

C.D.N.